

Litery

miesięcznik społeczno-kulturalny wybrzeża

kwiecień

nr 4 (40) 1965 rok

ID 39996

WOJEWODZKA MIEJSKA
BIBLIOTEKA PUBLICZNA
w Gdańsku
Gabinet Instrukcyjno-Metodyczny



Dyngus, dyngus po dyngusie

Leży placek na obrusie,

Matka kraje, ojciec daje—

Proszę o malowane jaje.

(Śpiewka kaszubska)

Cena 5.- zł



Polska prapremiera sztuki współczesnego dramaturga amerykańskiego Edwarda Albee „Kto się boi Virginii Woolf?” w reżyserii Jerzego Golińskiego jest nowym, wielkim sukcesem artystycznym Teatru „Wybrzeże”. Na podkreślenie zasługują nie tylko walory sztuki Albeego i znakomita reżyseria Golińskiego ale również gra aktorów naszego teatru — Lucyny Legut i Jadwigi Polanowskiej oraz Jerzego Golińskiego i Tadeusza Borowskiego.

Fot. Tadeusz Link

ZAPRASZAMY SĄSIADÓW

PRZEDSTAWIAMY NUMER:

Stanisław Dziadoń
W „WADZE” NA STARYM
RYNKU.

Edgar Milewski
Z MAŁEJ LITERY

Jan Ptasieński
NAS STWORZYŁ WIEK

Edgar Milewski
BIAŁA SALA

Bolesław Fac
OLSZTYŃSKIE SPOTKANIA

Janina Skowrońska-Feldmanowa
WESTERPLATTE

Romuald Gojzewski
MŁODZIEŻ DLA MŁODZIEŻY

Eugeniusz Melech
RAPSDOD URZEKA

KOLUMNA POETYCKA

Krzysztof Nowicki
REKONSTRUKCJE

MUZYKA • TEATR
• TELEWIZJA

Maria Kalota-Szymańska
PROSZE O PRAWO
DO OBRONY

RECENZJE KSIĄŻEK

Irena Przewłocka
STARE TOTEMY WSRÓD
WSPÓŁCZESNYCH INDIAN

Mieczysław Orski
7 TŁUSTYCH LAT
„KALAMBURU”

Tadeusz Bolduan
LUDZIE Z INICJATYWA

Longin Malicki
DYNGUS POMORSKI

Izolda Kaczmarczyk
WILEŃSKIE PALMY
WIELKANOCNE

Eugeniusz Koczorowski
WYWIAD Z JERZYM PERTKIEM

Alojzy Nagel
WIERSZE

Władysław Zajewski
FRANCUZI O KSIĄŻCE
J. DELARUE

Czesław Skonka
O ROZWOJ TOWARZYSTW
SPOŁECZNO-
KULTURALNYCH

TWOJ EX LIBRIS

KRZYŻÓWKA Z BUDZIKIEM

LECH BĄDKOWSKI

Pierwszy pomysł zorganizowania w Gdańsku spotkania literackiego między pisarzami polskimi i skandynawskimi wysunięty został pod koniec 1962 r. Inicjatorem był Gdański Oddział Związku Literatów Polskich, który od razu uzyskał zrozumienie i gotowość poparcia ze strony gdańskich władz kulturalnych. Sprawa następnie przeszła przez Walny Zjazd Delegatów ZLP, który uchwalił włączyć ją do programu działalności Związku. I w tym miejscu utknęła. Zarząd Główny Związku jakoś nie kwapił się do realizowania jej, a było rzeczą oczywistą, że tak poważne przedsięwzięcie nie mogło dojść do skutku bez aktywnego udziału naczelnych władz literackich. Sam sobie nie potrafię zadowalając wy tłumaczyć nikłego zainteresowania ze strony Zarządu Głównego. Nie cierpimy na nadmiar imprez literackich o charakterze międzynarodowym, kontakty nasze z zagranicą są niedostateczne a z krajami skandynawskimi wręcz znikome, wzajemna znajomość aktualnej twórczości mizerna. Chodzi przecież o nawiązanie bliskich stosunków z sąsiadami na niewielkim Bałtyku; potrzeby takiej nikt nie kwestionował, przeciwnie, wszyscy doceniali. A jednak.

Wydaje mi się, że wystąpienie z inicjatywą Gdańska z początku nie zostało potraktowane dość poważnie. Ostatecznie pomysłów można dawać wiele, a tylko niektóre z nich mogą liczyć na realizację. Gdyby inicjatywa wyszła z góry — to co innego. Później, kiedy okazało się, że Gdańsk obstaje przy swym pomysle, pojawiły się wątpliwości, czy impreza o charakterze międzynarodowym (która nagle okazała się poważna) powinna odbyć się w prowincjonalnym mieście czy raczej w stolicy. Wreszcie jednak, po przeszło dwu latach, Zarząd Główny zaakceptował wstępne założenia Gdańskiego Spotkania Literackiego, które ma się odbyć jesienią prawdopodobnie w październiku, bieżącego roku.

Prawdę mówiąc, kiedy pierwszy raz opracowywaliśmy ogólny zarys naszej inicjatywy, mieliśmy bardzo mgliste pojęcie o stanie stosunków między literaturą polską a literaturami skandynawskimi. Wskazywało to oczywiście, że ten stan jest zły

i należy coś przedsięwziąć, aby go poprawić. W ramach prowadzonych przygotowań dyrektor Wydawnictwa Morskiego Włodzimierz Jabłoński zaczął zbierać materiały obrazujące wymianę twórczości pisarskiej między naszymi krajami. Okazało się, że sytuacja jest gorsza niż nasze początkowe o niej mgliste pojęcia. Szczególnie źle przedstawia się reprezentacja naszej twórczości na półkach księgarskich Skandynawii. Sądzę, że Jabłoński opublikuje wyniki swoich dociekań, nie chcę więc mu ich zabierać, sygnalizuję tylko, że potwierdzają one potrzebę, właściwie konieczność przerwania tego dziwnego impasu.

Zasadniczym założeniem Gdańskiego Spotkania Literackiego jest wymiana informacji. Zaproponowaliśmy, aby strona polska dała referat (lub raczej parę referatów) o współczesnej literaturze polskiej, z obszernym uwzględnieniem tzw. marynistyki, o polskiej dramaturgii i poezji, a także o aktualnym stanie znajomości literatur skandynawskich w Polsce. Zaproponowaliśmy również, aby goście z Danii, Norwegii, Szwecji i Finlandii dali informację głównie o stanie literatury polskiej w ich krajach.

Ponieważ gdańska impreza będzie pierwszą tego rodzaju, siłą rzeczy w propozycjach naszych jest dużo szukania po omacku. Mamy nadzieję, że ona właśnie przyniesie nam rozeznanie, które wykorzystamy w przyszłości. Ażebv poszerzyć i urealnić front kontaktowania przewiduje się zaproszenie nie tylko pisarzy, ale także tłumaczy i przedstawicieli wydawców oraz naszych, bardzo nielicznych, skandynawistów.

Spotkanie powinno nam dać sporo brakującej wiedzy wzajemnej i już to samo będzie cennym jego rezultatem. Ale wolno również przypuszczać, że przyczyni się ono do powiększenia możliwości tłumaczeń, przede wszystkim z języka polskiego na języki skandynawskie. Jeśli praktyka potwierdzi nasze oczekiwania, będziemy się starali kontynuować Gdańskie Spotkania Literackie, być może raz na dwa lub na cztery lata, w międzyczasie pozostawiając miejsce na podobne inicjatywy ze strony naszych partnerów. W ten sposób wytworzyłaby się stała instytucja i stała więź łącząca państwa sąsiadujące poprzez

Bałtyk. Możliwe także, że zakres spotkań zostałby rozszerzony na wszystkie kraje bałtyckie.

Mamy na oku jeszcze jeden cel. Gdańsk swego czasu odgrywał doniosłą rolę kulturalną w basenie morza Bałtyckiego. Po rozbiorach Rzeczypospolitej rola ta gwałtownie zmalała i nie odzyskała jej Wolne Miasto w okresie międzywojennym. Gdańsk jako ośrodek gospodarczy i kulturalny ponownie zdobył znaczenie w Polsce w wyniku radykalnych zmian po ostatniej wojnie. Cieszy się również mocną pozycją w rejonie bałtyckim i w całej Europie, ale przede wszystkim lub nawet wyłącznie z tytułu swych funkcji gospodarczych. Sądzę, że inicjatywa literatów może stanowić konkretny krok na drodze do ponownego zajęcia należnego miejsca na mapie kulturalnej Europy północnej. W dążeniu tym nie ma żadnej megalomanii; jest to chyba słuszną i zdrową tendencją rozwijania aktywności i szlachetnego współzawodnictwa, które służy dobru człowieka.

Kiedy będziemy mieli u siebie naszych gości, nie ograniczymy się do wygłaszania referatów, prowadzenia dyskusji i rozmów towarzyskich. Chcemy ich także powieść trochę po Pomorzu Gdańskim, pokazać Westerplatte, Stutthof, Malbork oraz najpiękniejsze okolice Kaszub. Wszystko to razem trochę dużo jak na planowane cztery dni. Spotkania, mamy jednak nadzieję, że nie przemęczając uczestników, potrafimy zmieścić w ramach czasowych.

Gospodarzem spotkania będą: Zarząd Główny Związku Literatów Polskich oraz Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki. Zarząd Główny ustali listę 30 uczestników skandynawskich i 30 uczestników polskich oraz powoła referentów. Do nas, do Gdańszczan, należy zorganizowanie imprezy.

Jej powodzenie stanowi oczywiście naszą ambicję. Nie tylko życzliwi, ale wręcz gorący stosunek gdańskich czynników kulturalnych do tego ważnego i odpowiedzialnego przedsięwzięcia stanowi rękojmnię, że w trzecią rocznicę wysunięcia pierwszego pomysłu będziemy świadkami jego realizacji. Pracy przygotowawczej mamy przed sobą dużo, ale jestem pewien, że warto ją podjąć.

"O WADZE" NA STARYM RYNKU

STANISŁAW DZIADON

Przed czterema laty pisałem:

„Prace naukowo-badawcze Instytutu Zachodniego adresowane są przede wszystkim do społeczeństwa polskiego w kraju i Polaków za granicą. Mają one także na celu zorientowanie postępowych sił niemieckich i zachodnich o przyczynach i skutkach powrotu Polski nad Odrę i Nysę. Do rangi pierwszoplanowego problemu urosło, w związku z tym, rzetelne i aktualne informowanie świata zachodniego o naszych Ziemiach Zachodnich. Instytut sporo miejsca poświęca badaniom działalności niemieckiej reakcji w przeszłości i obecnie. Chodzi głównie o okres faszyzmu i — aktualnie — o badania nad odradzaniem się militarystyki i rewizjonizmu w NRF. Te właśnie zadania uwarunkowały kierunki obecnej problematyki badawczej instytutu*).

Zasadnicze kierunki działania instytutu i dziś, po czterech latach, pozostały te same. Kierunki badań poszerzyły się tylko o jeden istotny moment — w zakres zainteresowań instytutu weszły problemy integracji europejskiej i rola w procesie tej integracji Niemiec zachodnich.

W „Wadze” na Starym Rynku poznańskim pilnie śledzi się wszystko, co dzieje się u naszych zachodnich sąsiadów, zarówno u tych zza Odry i Nysy, jak i tych zza Łaby. Tutaj każdy fakt, każde wydarzenie szczególnie mające miejsce za Łabą, poddaje się analizie, wylicza się z niego wnioski i ocenia się jego znaczenie. Ta działalność, jak każda naukowa, wymaga spokoju, czasu i rozważli. Sądów nie wydaje się tu pochopnie. Ta — zdawałoby się — powolność pozwala często skutecznie reagować na niektóre wydarzenia, szczególnie w dziedzinie niemieckiej nauki, niż mogłyby to robić tony krzykającego papieru zadrucowanego — być może — nawet słusznymi wnioskami i postulatami, ale wyciągniętymi pochopnie, bez uzasadnienia i rzeczowej argumentacji. Dlatego spotkałem się ze stanowczą i negatywną odpowiedzią sekretarza naukowego instytutu dr Zdzisława Nowaka, na pytanie, czy nauce naszej w zmaganiach, z co najmniej setką zachodnioniemieckich instytutów, dysponujących pełnym warsztatem naukowym, ale oddanych w pacht rewizjonistycznej propagandzie, nie grozi defensywność.

— Pytanie istotne — usłyszałem w odpowiedzi — ale niebezpieczeństwo takie nie istnieje. Istotą pracy instytutu jest działalność naukowa, Niemcy natomiast w NRF mają na pewno „przewagę” w propagandzie.

PRZEMILCZANA PRACA

Dr Z. Nowak jest autorem pracy monograficznej na temat „Zarysu czynników rozwoju gospodarczego Niemiec zachodnich”. Wysunął on tezę, że utrata przez Niemcy w wyniku ostatniej wojny ziem wschodnich i powrót tych ziem do Polski legło u podstaw NRF-owskiego „cudu gospodarczego”. Pracę tę — o dziwo! — naukowcy niemieckich instytutów zajmujących się problematyką zachodnią pominęli milczeniem. Inny był jednak stosunek do niej poważnych naukowców-ekonomistów krajów zachodnich. Przedtem jednak, nim prześledzimy tok rozumowania i wnioski autora, odpowiedźmy na pytanie: dlaczego instytut zajął się problematyką integracji zachodnioeuropejskiej?

Od początków dążeń scaleniowych w Europie zachodniej Niemiecka Republika Federalna stała się gorącym zwolennikiem integracji. W miarę upływu czasu i wzrostu ekonomicznej potęgi NRF, interesy integrującej się Europy zaczęły w państwie bońskim utożsamiać z interesami Niemiec. Usiłuje się także cele zintegrowanej Europy utożsamiać z dążeniami NRF. Wiadomo zaś, że dążenia te określa niemiecki rewanżyzm. Integracja — powiadają NRF-owscy rewanżyści — leży w interesie Europy zachodniej. Niemcy są częścią składową tej Europy. I to — dodają — nie byle jaką, bo ekonomicznie i liczebnie najsilniejszą. Ergo — interes Niemiec jest interesem Europy. W interesie NRF leży wchłonięcie NRD i b. terenów wschodnich.

Celów tych oczywiście nie prezentuje się tak prosto, jak je tu przedstawiono. Jedynym partnerem grającym w tej grze bez nieudomówień są tzw. ziomkowie. Ci ostatni zresztą nie stanowią szczególnego przedmiotu zainteresowania instytutu. O tyle tylko, o ile stanowią cząstkę ogólnego problemu, któremu na imię: Niemcy. I w tym znaczeniu dużą wartość przedstawia świetnie udokumentowana praca mgr J. Sobczaka „Przesiedleńcy w NRF”.

Przytoczone powody i inne sprawiły, że kwestia europejskiej integracji stała się centrum zainteresowania instytutu. Dodatkowym momentem przemawiającym za zajęciem się tą problematyką

stało się to, że poważna część zachodnioniemieckiej nauki stojącej na usługach rewanżyzmu, również opowiada się za integracją „dorabiając” ideologiczne przesłanki utożsamianiu celów zintegrowanej Europy z celami Bonn. Wykazanie, że tego typu działalność naukowa stanowi poważne zagrożenie, nie tylko dla Polski, ale także dla światowego pokoju, stało się ambitnym celem poznańskiej placówki.

Szczegółowym przejawem działalności wspomnianego typu nauki w NRF jest istnienie i funkcjonowanie około setki doskonale wyposażonych i finansowanych ze środków publicznych instytutów. Wystarczy tu wspomnieć, chociażby wsławionym sfalszowaniem cytatów z prasy polskiej „Goetinger Arbeitskreis”, czy też trudny do stawiania go na tej samej płaszczyźnie, dysponujący świetnie opracowanym katalogiem, dotyczącym dzieł Europy wschodniej od roku 1800, Instytut Herdera.

POZORYN PARADOKS

Powróćmy teraz do pracy dr Z. Nowaka. Praca, która m. in. w USA zyskała pozytywny odzew.

Generalną tezę zachodnioniemieckiej nauki rewizjonistycznej jest głoszenie niezbędności powrotu do Niemiec, dla normalnego rozwoju ich gospodarki, naszych Ziemi Zachodnich. Dr Nowak poświęcił temu problemowi wiele czasu i pracy. Oto rezultaty:

Teza ekonomiczno-historyczna: Na przestrzeni XIX i XX wieku znaczenie ziem wschodnich w obrębie państwowego organizmu Niemiec, ciągle malało. Konsekwencją ich drugorzędного znaczenia była „Ostflucht” — ucieczka niemieckiej ludności ze wschodu. Niewiele pomagały administracyjne udogodnienia: „Drang nach Osten” był tworem sztucznym, służącym ekspansjonistycznym celom pruskiej i niemieckiej reakcji. Tereny wschodnie zawsze pozostawały „Hinterlandem”.

Argument: Niemcy współczesne nie mogą się rozwijać bez utraconych w wyniku II wojny światowej ziem na wschodzie.

Antyteza: Szczegółowa analiza ekonomiczna wykazuje, że współczesne Niemcy zachodnie mimo utraty ziem na wschodzie rozwijają się gospodarczo, jak nigdy.

Argument: Niemcy zachodnie miały i mają nadal kłopoty z wchłonięciem i asymilowaniem ludności przesiedlonej z terenów wschodnich. „Wypędzeni”, ze względów ekonomicznych, nie są w stanie zasymilować się w NRF.

Antyteza: Gdyby nie było przesiedleńców gospodarka zachodnioniemiecka nie byłaby w stanie dźwignąć się z powojennego upadku. Straty biologiczne, powstałe w wyniku wojny, spowodowały katastrofalny brak siły roboczej. Ludność przesiedlona ze wschodu zlagodziła istniejący niedobór. Dlatego jej obecność w Niemczech zachodnich była warunkiem i szansą rozwoju ekonomicznego NRF, w okresie powojennym. Napływ ludności ze wschodu legł u podstaw tzw. „cudu gospodarczego”.

Współczesne wyodrębnianie ludności przesiedlonej odbywa się w sposób sztuczny, gdyż ludność ta znalazła w NRF lepsze warunki materialne, niż miała na dawnych terenach. Oprócz tego w republice federalnej pracuje obecnie ponad milion obokrajowców — Włochów, Turków, Greków, Hiszpanów itd. Bez importu siły roboczej trudno byłoby myśleć o normalnym wzroście i rozwoju gospodarki NRF. Istniały więc ekonomiczne przesłanki całkowitej asymilacji przesiedleńców.

Dodatkowy argument ekonomiczny: Ziemie nad Odrą i Nysą włączone w organizm Polski stały się terenami w pełni rozwiniętymi ekonomicznie. Stanowią one zarazem warunek normalnego funkcjonowania polskiej gospodarki.

Zauważyliście, że we współczesnej argumentacji, w minimalnym stopniu bierze się pod uwagę racje historyczne. Racje te zepchnęli na dalszy plan zachodnioniemieccy polemisi. Przewidywać należy, że wkrótce połączymy się z „prawem do ojczyzny” w interpretacji zachodnioniemieckiej. Obraca się ono bowiem, podobnie, jak „doktryna Hallsteina” przeciwko swym twórcom. Będzie im więc niewygodne.

NIEMCY — SŁOWIANIE

Te dwie grupy etniczne nie koniecznie i nie zawsze muszą być sobie przeciwstawiane. Najlepiej wykazuje to powojenny okres istnienia NRD. Właśnie węzłowe problemy stosunków słowiańsko-niemieckich w XIX i XX wieku były przedmiotem międzynarodowej sesji naukowej zorganizowanej w Poznaniu w maju 1964 roku. Mate-

riały z sesji opublikowane zostały w numerze 5/6 — 1964 r. „Przeglądu Zachodniego”.

Problematyka niemiecka, która — ze zrozumiałych względów — stanowi główny motyw zainteresowań Instytutu Zachodniego, przewijała się przez jego działalność w całym dwudziestolecu. W ubiegłym roku plan badań zakładał kompleksowe opracowania wszystkich sekcji w ramach pięciu problemów. Dominowały sprawy integracji zachodnioeuropejskiej i związany z nią problem Niemiec. Zajmowano się sprawami Niemieckiej Republiki Federalnej, Niemieckiej Republiki Demokratycznej, historią Niemiec, stosunków polsko-niemieckich i naszymi Ziemiach Zachodnimi.

W 1963 roku, w ramach redagowanej przez prof. dr G. Labudę „Monografii współczesnych Niemiec”, wydano tom I „NRD”, pod red. doc. B. Wiewióry i dr Gruchmana. 19 autorów dało w tej pracy kompendium wiedzy o współczesnych, demokratycznych Niemczech. W 1964 roku prowadzone, pod red. prof. K. M. Pospieszalskiego i doc. J. Ziolkowskiego, prace nad II tomem monografii obejmującym NRF. Dorobek wydawniczy roku 1963 objął także pracę zbiorową 8 autorów pod red. prof. G. Labudy pt. „Wschodnia ekspansja Niemiec w Europie środkowej”. Trzynastu autorów pod kierownictwem prof. J. Pajewskiego, przy współudziale doc. J. Krasuskiego, prof. G. Labudy i prof. K. Piwarskiego opracowało „Problem polsko-niemiecki w traktacie wersalskim”. Polscy i niemieccy naukowcy pod kierunkiem prof. J. Pajewskiego pracowali nad „Dziejami Ostmarkenvereinu”. Pracowano także nad zbiorową monografią Ziemi Zachodnich, która obejmuje takie zagadnienia — tytuły, jak „Rozwój gospodarki Ziemi Zachodnich w XX-lecie i jego perspektywy” (red. W. Kawalec), „Przeobrażenia społeczne na Ziemiach Zachodnich w latach 1945—1965” (red. prof. P. Rybicki, doc. W. Markiewicz i doc. J. Ziolkowski) oraz „Naukę i szkolnictwo wyższe na Ziemiach Zachodnich w latach 1945—1965”. W tę ostatnią pracę zaangażowano naukowców niemal z całego kraju.

Wymienienie samych prac zajęłoby prawie cały artykuł. Powyższe tytuły podałem więc tylko, celem zorientowania czytelnika w zakresie tematyki, którą zajmuje się Instytut Zachodni. Trudno tu jednak nie wspomnieć o zasłużonym „Przeglądzie Zachodnim” redagowanym od dwudziestu lat niezmiennie przez dr M. Suchockiego. Pismo to zamieszczając prace naukowe opracowywane przez poznański instytut, zyskało sobie wysoką rangę i uznanie wśród naukowców w kraju i za granicą. Jak poinformował mnie mgr Z. Kulak, „Przegląd” rocznie się do 26 krajów i ma za granicą ok. 150 odbiorców. Od najbliższego numeru periodyk zamieszczać będzie w każdym numerze omówienie prac w językach angielskim, i rosyjskim.

NAUKA, FAKTY

Instytut Zachodni, jako placówka podległa Polskiej Akademii Nauk, utrzymuje stały kontakt z pokrewnymi instytutami regionalnymi. Płaszczyną współdziałania jest Komisja Koordynacyjna Instytutów Ziemi Zachodnich. Do komisji należą: Instytut Bałtycki (Gdańsk), Instytut Śląski (Opole), Śląski Instytut Naukowy (Katowice), Instytut Zachodnio-Pomorski (Szczecin), Wrocławski Ośrodek Badawczy i Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego w Olsztynie. W pracach komitetu uczestniczy Instytut Spraw Międzynarodowych, Wrocławskie Towarzystwo Naukowe, Rada Naukowa TRZZ i Zachodnia Agencja Prasowa.

Komisja zajmuje się przede wszystkim koordynacją planów prac badawczych i ustalaniem ich, tak, by nie podejmować w dwóch ośrodkach tych samych problemów. Ustala się również plany współpracy instytutów z periodykiem wydawanym przez Instytut Zachodni pn. „Polish Western Affairs”. Pismo to wydawane w j. angielskim posiada 350 odbiorców w najpoważniejszych instytutach naukowych, bibliotekach organizacji międzynarodowych, ciałach ustawodawczych i instytucjach rządowych 30 krajów. O zainteresowaniu zagranicy problematyką poruszają w „Polish Western Affairs” świadczą fakt, że wiele artykułów trzeba było dodrukowywać w formie „nadbitków”. Były to przeważnie poważne rozprawy naukowe poruszające problematykę niemiecką. I tu dochodzimy do sedna sprawy: do sfer intelektualnych Zachodu bardziej przemawiają fakty i ich naukowa interpretacja, niż krzykliwa propaganda. Faktów w Instytucie Zachodnim nie przygotowuje się na doraźny użytek — one mówią same za siebie.

*) Kaszëbë nr 2(81) — 1961 r.

Dzieje Białej Sali toną w mro-
kach niepamięci. Jak tajemne,
ponuro sklepione schody stępują-
ce do ratuszowych podziemi —
najsroźszego niegdyś w Gdańsku
więzienia. Kto nie zna Prusa-
ków, ten nie uwierzy, że naj-
piękniejsza w Gdańsku sala by-
ła siedzibą Polizeidirektion. Mia-
ła wtedy gotyckie sklepienie i
pod strzelistymi łukami padały
strzeliste wyroki. Lecz cały ten
gotyk był sztuczny i trwał krótko.
Pozostała po nim czarna plama
kutych w żelazie drzwi od-
cinająca się ostrym kontrastem
od przywróconej bieli renesan-
sowej ściany. No i wspomnienia.
Te ogarniają już na progu sali
i przenikają z mistrzostwem god-
nym dwóch wielkich stylów, któ-
re ukształtowały ten wspaniały
zabytek gotyku i renesansu —
Gdański Ratusz Głównomiejski.

De gustibus non est disputan-
dum — zgódźmy się więc z opi-
nią historyków sztuki, że zda-
niem gdańskich przewodników,
że najbogatszą, najbardziej oka-
zała, strojną w złoto i purpurę,
była Sala Czerwona i... zachო-
wajmy swój zachwyt dla wy-
twornej prostoty Sali Białej. I
jeszcze jedno nie podlega dys-
kusji — panorama Długiego Tar-
gu pod oknami Białej Sali. Jest
rzeczywiście jedyna w swoim ro-
dzaju. Jeśli dobrze wyjrzieć, od-
czytać można nawet czas na
słonecznym zegarze ratuszowej
wieży. Trudniej natomiast pojąć
filozoficzną sentencję umieszczo-
ną przed wiekami pod tym ze-
garem:

*Umbra sunt dies nostri —
Cieniem są dni nasze.*

Może dlatego wrzało tu tak
często od wielkich ludzkich na-
miętności. Na placu przed ratu-
szem rozgrywały się historyczne
wydarzenia. Tu gromadziły się
tłumy gdańskiego popołuska, by
walczyć o swe prawa. Tu odby-
wały się gdańskie uroczystości
i zabawy. Tu lud gdański skła-
dał przysięgę wierności polskim
władcom. I tu wreszcie chorąży
Ludowego Wojska rozwinął zwy-
cięski sztandar nad wyzwolonym
miastem. Wszystko to widać
doskonale z renesansowych
okien.

Choć brzmi to paradoksalnie,
Biała Sala nieraz zmieniała
swoją koloryt. A także kształt i
nastrój, gospodarzy i gości. Była
pokojem Rajców Miejskich i sa-
lę Trzeciego Ordynku, miejscem
mądrych narad, wystawnych
uczt, spornych sądów, Królew-
ską Rezydencją i Dyрекcją Po-
licji. Kazimierz Jagiellończyk tu
pieczętował wielkie przywileje
Gdańska, a Rada Miejska stro-
jąc się na modłę to włoską, to
holenderską, w tej właśnie sali
korzystała swe republikańskie
ambicje, składając wielokrotnie
w ciągu wieków hołd polskiemu
królom. Jakże barwny korowód
sławnych postaci w historycz-
nych kostiumach — królów i że-
glarzy, dam i rycerzy, kupców
i dyplomatów, rzemieślników i
artystów — przewinał się przez
Białą Salę. Zdobiły ją kosztowne
sprzęty i arcydzieła sztuki. A
ocalały rachunki w archiwach i
eseje w literaturze.

Józef Ignacy Kraszewski zwi-
edza i opisuje gdański ratusz pro-

BIAŁA SALA



Prof. Jacek Żuławski maluje fryz białej sali Fot. Z. Kosycarz

mieniający jeszcze blaskiem zło-
tych czasów. Ale w Białej Sali
nie znajduje już galerii królew-
skich portretów od Władysława
Jagielly po Jana Sobieskiego tak
plastycznie przedstawionej w
XVIII — wiecznej relacji J. Ber-
noulli'ego, czy późniejszej roz-
prawie J. K. Schultza. Za nim
do Gdańska przybył historyk li-
teratury polskiej, rektor jagiel-
lońskiej wszechnicy i prezes
Akademii Umiejętności — Sta-
niław Tarnowski, Prusacy zdo-
łali usunąć z Białej Sali nie tyl-
ko wielki obraz ukazujący w 24
scenach krzyżacką klęskę na po-
lach Grunwaldu, obraz malowa-
ny na 250 lat przed Matejką w
oparciu o tę samą historyczną
relację Długosza, ale i słynny z
artystycznych walorów obraz
bitwy morskiej pod Oliwą XVII
— wiecznego mistrza Bartłomieja
Milwita. Hrabia notuje to wszy-
stko ze znanstwem sztuki i pa-
triotycznym zdumieniem, wzdzy-
chając i pytając sam siebie:

*...Potężnej tęsknocie ulega ten
kto jeździ po dawnej Polsce.
Zobaczyć ją, jaką jest, domyś-
lać się, jaką była... Czy Pomo-
rze i Warmia nie są nam ze
wszystkich jej części najmniej
znane?*

Gdański pamiętnik Tarnowskiego
jest zbyt obszerny aby móc go
tu cytować, lecz jeden fragment
wart jest lektury. To scena w
ratuszowych wnętrzach, gdzie
autor, urzeczony ich pięknem i
bogactwem, rozumie artystę
Aleksandra Gryglewskiego, któ-
ry przybył do Gdańska z odle-
głego Krakowa specjalnie po to,
by malować Białą Salę. Był w
swoim czasie niezrównanym ma-
larzem architektury wnętrz. W
muzeum miasta Krakowa po-
dziwiałem niedawno znako-
mite obrazy wawelskie Gry-
glewskiego, nie natrafiając,
niestety, na żaden ślad jego
gdańskich obrazów. Sprawa
warta jest jednak dalszych po-
szukiwań, przede wszystkim ze
względu na artystyczne wartości
jego prac, ale także z powodu
tragicznego finału, który związał
życie krakowskiego malarza z
historią gdańskiego ratusza. Gry-
glewski zginął rzucając się z
okna drugiego piętra na ratu-
szowy dziedziniec.

W połowie XIX wieku, po usu-
nięciu historycznych pamiątek
zerwano tynki, ba nawet belko-
wany strop, przebudowując za-
bytkową Białą Salę w duchu
pseudo-neo-gotyku, co spotkało
się z nieśmiałą krytyką nawet

niemieckich historyków sztuki i
głośnym, publicznym protestem
gdańskiego architekta Brandta.
Potem słyhać już było same
zachwyty lub wymowne milcze-
nia, aż doszło do wojennego po-
żaru.

I oto w Białej Sali znów sto-
ją rusztowania. Oczywiście nie
sposób wskrzesić zniszczone z
premedytacją dzieło. I nie ma
mowy o rekonstrukcji pseudo-
-sztuki. Powraca się jedynie do
prawdy historycznej i szuka
prawdy artystycznej. Zrealizowa-
no już projekt odbudowy sali,
inżyniera Kazimierza Mazura i
inżynier Izabeli Wójcik z Gdań-
skiej Pracowni Konserwacji Za-
bytków. Jest już strop z dREW-
nianym belkowaniem i z Szyd-
łowca sprowadza się kamień po-
sadzki. Teraz na rusztowaniach
stoją plastycy — Halina Bajoń-
ska, Zbigniew Alkiewicz, prof.
Łada-Studnicka i główny pro-
jektant malarskiego wystroju
Białej Sali prof. Jacek Żuław-
ski — ten sam, który przed kil-
kunastu laty był głównym pro-
jektantem polichromii zabytko-
wej ulicy Długiej. Sala ma już
białe ściany, nieco chropowate
naturalną ziarnistością tworzy-
wa, a pod ciemnym brązem bel-
kowanego stropu powstaje wielo-
barwny fryz.

— Chodzi o to — mówi prof.
Żuławski — aby nie zatracić po-
jęcia bieli. Przecież gorsz niż
frakowej dlatęgo jest biały, że
frak jest czarny. Ratusz jest
piękny ale i trudny niezmiennie.
Gotyk i renesans przenikają się
tu nieregularnie, tworząc dopiero
w efekcie harmonijną całość. W
gotyku wszystko ma ponad ludz-
ką miarę, w renesansie wszystko
jest na miarę człowieka. W Bia-
łej Sali uderzył mnie właśnie ów
osobliwy „renesans w gotyku”.
Stąd projekt barwnego fryzu,
który nie tyle obniża, co zbliża
wnętrze, wprowadza tony ciepłe
i zimne. Fryz biegnie poziomym
pasmem przez dwie tylko ściany.
Przedstawia kilka istotnych dla
tysiącletnich dziejów Gdańska
scen historycznych. Pomiędzy
fragmenty fryzu wkomponowa-
łem cztery portrety królewskie.
Wielkie poziome wnęki okienne
wypełni kolorowy, stylizowany
zwierzyniec. Chciałbym, aby szy-
by okien Białej Sali były ręcz-
nie lane, z jednej strony gładkie,
z drugiej granulowane, co stwo-
rzyłoby dodatkową grę światła —
przejaż gdańskiej ulicy oglądany
z sali miałby wtedy swoisty
urokliwy nastrój. No i wiele za-
leży od kolorytu kamiennej po-
sadzki. Trudno mówić o pracy,
która dopiero powstaje. Nasuwa-
ją się rozmaite doświadczenia i
skojarzenia z czasów, gdy byłem
ucznem Kowarskiego malującego
Wawelską Salę z Ptakami i
późniejszych prac tamże wyko-
nywanych pod okiem profesora
Szyzsko-Bohusza. Jestem wraz
z zespołem, także pełen troski,
aby zamierzona koncepcja wy-
stroju Białej Sali się udała.
Wszystko dopiero się komponuje,
pośpiech w sztuce raczej nie jest
wskazany.

Dziękujemy, czekamy, i zapra-
szamy się na pierwszą lampkę
wina w Białej Sali.

EDGAR MILEWSKI



o wiosnie i piotrusiu

wiosna jest najpiękniejszą porą roku, sobota najmilszym dniem, wakacje najprzyjemniejszym miesiącem. Wiosna właśnie się zaczęła, sobota la-da dzień, wakacje przed nami. Porozmawiajmy zatem o ciężkiej pracy naszych kobiet, o naszych bawiących się na ulicach dzieciach. Osobiście znam tylko jeden równie palący problem — papierosy. Ale o tym smrodliwym skandalu żaden, najbardziej nawet nałogowy palacz, trwoniący swe zdrowie lecz szanujący swój zawód dziennikarz, nie napisze już słowa. Cóż bowiem znaczą słowa skoro nie znajdują oddźwięku? W tej sprawie nie było interpelacji.

Narastające trudności tytoniowe nie doczekały się poważnego rozpatrzenia w ciągu całej czteroletniej kadencji naszych posłów i radnych. A przecież jeśli dziesięć milionów obywateli co dzień pyta o papierosy, to słuszną racją jest odpowiedzieć z sejmowej trybuny, a nie z niedoinformowanych ust pokątnych kioskarek. Atakowanie wytwórni tytoniowych ma wszelako — nomen omen — charakter obosieczny. Z jednej strony człowiek walczy, aby nie traktowano go jako osła i nie częstowano sieczką, z drugiej wiadomo, że najprzedniejsze nawet gatunki virginii nie wpływają dodatnio na ludzkie zdrowie. Co do mnie, to z dwojga złego wolę śmierć aromatyczną od uduszenia smrodem i wiem, że nie jestem w tym kaprysie odosobniony. A jeśli uraziłem czyjeś ucho to widocznie ma zatkany nos — nie jest więc przy pełnych zmysłach. Poza tym solidaryzuję się z całym medycznym światem, który od dłuższego czasu prowadzi ze wszech miar pożyteczną akcję tłumienia chorobliwie rozpalonej ludzkości. I u nas wszczęto optymistyczną terapię. Pamiętacie namiętne protesty palaczy w prasie Wybrzeża, kiedy Gdańska Dyrekcja Kolei wprowadziła za-

kaz palenia w kolejkach trakcji elektrycznej Gdańsk — Wejherowo — Nowy Port? Sam byłem zwolennikiem utrzymania kilku wagonów dla palących. Jako lojalny obywatel wyobrażałem sobie, że będę zmuszony wysiadać po drodze na papierosa. Okazało się, że nadzwyczajnie znoszę przejazd w nowych warunkach. Nawet nie wiem, kiedy mija te pół godziny bez dymu. A bywało, że buchało z tych kolejek takimi kłębami, jakby nie ludzie palili, a pociąg płonął. Albo weźmy niedawne zarządzenie ministra żeglugi ograniczające palenie na konferencjach do przerw w obradach. Nie ma co ukrywać, że pokpiwali z niego i młodzi referenci, owi zapaleni taternicy od Giewontów i starzy kapitanowie z nierozłączną fajką. Dziś już przywykli i sami rozumieją, że był to udany przykład wypłynięcia z ciasnych aque-nów branzowości na rozległe wody problematyki społecznej. Niestety, te i inne uzdrawiające inicjatywy niweczy praktyka naszych wytwórni tytoniowych. Zamiast kilku przyzwolonych rodzajów papierosów produkują one kilkadziesiąt rozmaitych gatunków, które mają jedną cechę wspólną — pojawiają się każdy w innym dniu tygodnia, po czym znikają na całe kwartały. Proszę spytać lekarzy ile powoduje to nerwowych rozstrojów. Proszę wnieść to na obrady rad i na forum sejmu. I proszę nie sądzić, że dymek z papierosa przesłania mi świat. Po prostu bolą mnie oczy.

Ale zapowiedziałem felieton o Piotrusiu i w ogóle o dzieciach. Piotrusia poznałem w knajpie. Tak chyba trzeba nazwać tę jedyną gospodę małego osiedla, w której więcej popijano niż zajadano. Siedział przy osobnym stoliku, nad nieźłą porcją mięsowa. Był rezolutny i beztrojski. Wstał tu wracając ze szkoły. Matka śpiesząc do pracy dała mu parę złotych na śnia-

danie. Czy mnie to dziwi, że jest głodny? Przecież już druga. Rodzice wracają dopiero o piątej. Pójdzie więc teraz do sąsiadów, a jeśli ich nie będzie, to pobawi się na ulicy.

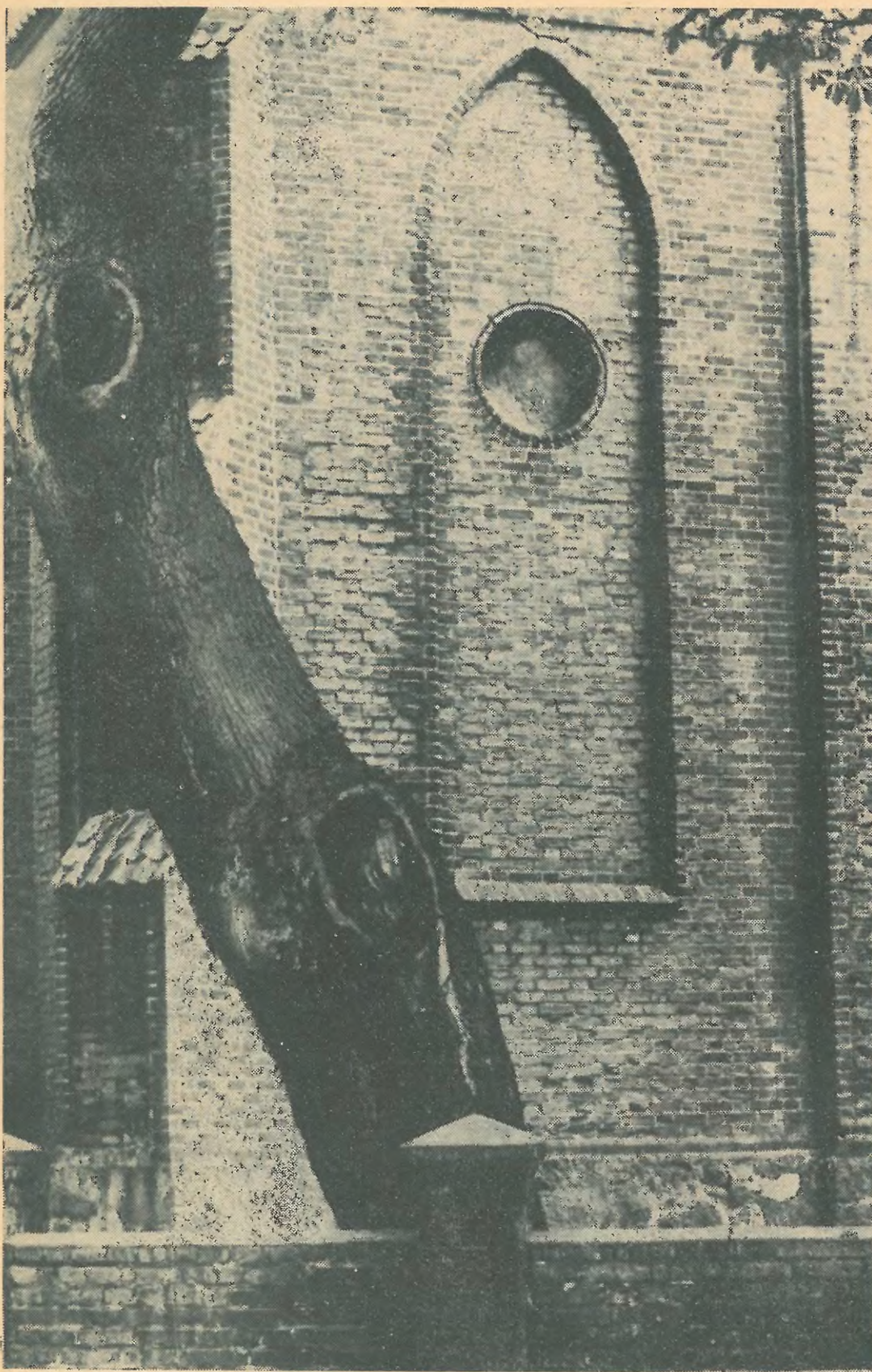
W Łęborku, bodajże w miejscowej „Syrence” spotkałem rówieśników Piotrusia. Ci pierwszoklaści weszli całą gromadą. Rozbiegli się po sali i spod każdego stolika wyciągali butelki po piwie, winie, wódce, wkładając je do osobnych worków. Zaśmiali się nad śpiącym chłopem, poczekali przy stoliku żołnierzy, a gdy ci wypili strzeżennego, zabrali pustą butelkę i zadowoleni z udanej soboty, pobiegli dalej. Być może obgadać plan i budżet szkolnej wycieczki.

Tego samego wieczoru w pobliskim domu kultury miałem prelekcję o aktualnych problemach polityki kulturalnej. Starannie omijałem przykłady z „Syrenki”. Łatwo się w nich bowiem zaplątać. Wbrew pozorom są bardzo złożone i trzeba je dobrze przemyśleć. Proponuję podjąć ten temat teraz, podczas sprawozdawczo-wyborczych spotkań z radnymi i kandydatkami na posłanki. Jestem bowiem głęboko przekonany, że w okresie tym nie powinniśmy tylko bilansować ogromnego dorobku kulturalnego dyktować nad rozwojem gospodarczym ale podjąć również najtrudniejsze problemy społeczne — problemy, których w pełni zadowalające rozwiązanie wybiega poza realne możliwości najbliższych lat nowej kadencji. Obecna kampania wyborcza, w której najaktywniejszą będzie młodzież wyrosła w Polsce Ludowej, młodzież która ma już za sobą egzamin dojrzałości i masowo studiuje na wyższych uczelniach, powinno właśnie cechować podejmowanie najtrudniejszych aktualnie zagadnień naszego życia społecznego. Jednym z pierwszoplanowych jest niewątpliwie problem dzieci kobiet pracujących.

Nie konsultowałem tego felietonu z miłymi paniami z gdańskiej Ligi Kobiet. Pozwalam sobie jedynie przypuszczać, że zgodzą się one ze mną iż żyjemy w niezwykle kraju, jakże miłych, szarmantnych tradycji i jakże obciążających sarmackich poglądów. Jednocześnie żyjemy w jednym z nielicznych krajów świata, w którym kobietom i dzieciom zapewniono tak wiele. Zapewne Liga Kobiet dysponuje nie felietonowym materiałem cyfr i faktów obejmującym — żłobki, przedszkola, szkoły, świetlice, internaty, bursy, zasiłki rodzinne, poradnie macierzyńskie i pedagogiczne, stypendia i premie, ilość dziewcząt na studiach i w kobiecych zakładach pracy lecz materiałem, z którego w największym skrócie wynika pełne równouprawnienie kobiet oraz fakt, że nie ma dziś w Polsce dziecka głodnego, bosego, bez domu i szkoły.

W tym pięknym bilansie jest jednak sporo nieznanego godzin codziennego życia wielu dzieci pracujących matek. Te godziny, to droga tych dzieci ze szkoły do domu — droga pełna pokus, pusta nieświadomością dziecka, wypełniona strachem matek. Wiem, że nie stać nas jeszcze na powszechną półetatową pracę dla matek dzieci w wieku szkolnym. Wspominając Piotrusia nie zauważyłem, aby był czarny. Samodzielność życiowa dzieci wyrabia je wszechstronnie i nie koniecznie negatywnie. Czarni Piotrusie pozostają na pewno zbyt licznymi ale przecież wyjątkami. Mimo to postulowanie półetatowej pracy matek wydaje mi się pilną racją społeczną. Albo trzeba znaleźć inne rozwiązanie palącego problemu. Dlatego wybieram się na zebra nie przedwyborcze na wspólną dyskusję z radnymi i posłankami.

edgar milewski



Fot. Wojśław Brydak

BOLESŁAW FAC

OLSZTYŃSKIE SPOTKANIA

Pisarze zamieszkujący rejon zachodni i północny Polski, a więc tak zwane ziemie odzyskane, posiadają swój bezsporny wkład w życie kulturalne, społeczne i polityczne swego terenu. Ten truizm, który w dwudziestolecie PRL posiada sens bilansujący, wynika z przeświadczenia, że literatura, która powstała i powstaje na tych ziemiach jest bogata i wartościowa, zarówno w sensie artystycznym jak i społecznym. Wbrew sceptycyzmowi, a trzeba wiedzieć, że i gdańskie środowisko podzielało w przeszłości takie uczucie, w trakcie działania zarysowała się zupełnie realna szansa naturalnej integracji poprzez współdziałanie na płaszczyźnie TRZZ. Utworzono Komitet Porozumiewawczy Pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych, który współdziała z TRZZ w sensie społeczno-politycznym, a ze Związkiem Literatów Polskich w kontekście spraw związkowo-twórczych. Ta ostatnia płaszczyzna organizacyjna na wspomnianych ziemiach jest reprezentowana przez Oddziały ZLP (tylko Koszalin nie ma jeszcze swego oddziału, lecz to kwestia miesięcy) w oparciu o coraz lepiej rozwijającą się „bazę wydawniczą” (np. 4 wydawnictwa, 9 czasopism społeczno-kulturalnych itp.).

Zjawiska literackie tych ziem wielokrotnie swym znaczeniem przekraczają rogatki wojewódzkie, stając się wydarzeniami ogólnopolskiej giełdy literackiej. W tym kontekście działalność Komitetu Porozumiewawczego ma swój sens organizujący nie tylko od święta, z okazji zjazdów czy jubileuszy, ale również na co dzień, sprowadzając go do szczególnej opieki wszystkiego co cenne, co najlepiej wspomaga środowiska literackie tym ziem.

Widać to było na przykładzie ostatniego posiedzenia w lutym br. Zgłoszono tam wniosek o przeciwdziałaniu zapędowi przekształcenia miesięcznika społeczno-kulturalnego „Odra” w „biuletyn wojewódzki”. Przed laty „Odra” ze względu na ograniczony profil (właśnie złośliwie nazywany „biuletynem wojewódzkim”), borykała się z poważnymi trudnościami. Ratowano pismo przejściem na inny format i na inną częstotliwość, ale i to niewiele pomagało. Dopiero kiedy redakcja zaczęła konsekwentnie lansować ambitny program naturalnej integracji przez podejmowanie tematyki ogólnopolskiej, nawet tej najtrudniejszej, nakład pisma znalazł swego nabywcę, a więc pismo — czytelnika. W tej chwili wynika kwestia zwiększenia nakładu, gdyż „Odra” jest rozchwytywana we Wrocławiu, nie mówiąc już o innych ośrodkach. (Spróbujcie kupić „Odrę” w Gdańsku!) Lecz właśnie teraz

znaleźli się „życzliwi” doradcy nakłaniający redakcję do zmiany obecnej polityki. Na szczęście mądra i ambitna polityka redakcji znalazła mądrych protektorów, którzy poparli dotychczasowe osiągnięcia. A byli to protektorzy z głosem decydującym. Pismo więc coraz bardziej oscyluje w kierunku „Polski” i jest już nie pismem wrocławskim, ale po prostu „Odra” — pismem czytany i komentowanym w całym kraju. Ostatnia „Kultura” przytacza z niego duże fragmenty artykułu Andrzeja Kijowskiego — „Mity literatury współczesnej”, artykułu kontrowersyjnego i jestem przekonany, że temat ten przejmie za Wrocławiem (!) cała prasa literacka kraju. To się nazywa przedsięwzięcie! Ale póki co, pismo zgrupowało wokół siebie pióra miejscowe, sięgając do środowisk nie tylko literackich czy dziennikarskich. Stały felieton pisze w „Odrze” znany nam skądinąd reżyser Zygmunt Hübner! W ten sposób również i Polska przy okazji dowie się, co też tam słychać we Wrocławiu, co tam robi środowisko, jakie są jego osiągnięcia... (Zresztą trzeba przyznać, że tendencje do naturalnej integracji istnieją we Wrocławiu nie tylko w dziedzinie literatury czy publicystyki. My bawimy się w Festiwal Teatrów Północnych, a Wrocław przekształcił swój festiwal w ogólnopolski Festiwal Polskich Sztuk Współczesnych! W ten sposób znaleziono „wyjście” również i dla wrocławskiego teatru).

Nieco inną sprawą, którą zajmował się Komitet Porozumiewawczy na wspomnianym, lutowym posiedzeniu, była kwestia przekształcenia „Nadodrza”, pisma społeczno-kulturalnego (wychodzi w Zielonej Górze) w magazyn „kolorowy” na wzór „Panoramy Północy”. I tu komitet wyraził dezaprobatę takiemu przedsięwzięciu, co potwierdziło życie, gdyż redakcji tego pisma udało się uratować swoje ambitne plany. Choć i tak ziemie nadodrzańskie będą miały swoją „kolorówkę”. (Wieść gminna podaje, że w tym celu przekształcone zostanie jedno z pism o wąskim zasięgu tematycznym).

Wydaje mi się, że w tych dwóch przykładach zawarta jest wskazówka dla działania Komitetu Porozumiewawczego również i w okresie między zjazdami. W tych dwóch przykładach zawarte jest również ziarno nauki dla naszej redakcji, pisma, ciągle jeszcze poszukującego swego ostatecznego oblicza. Jeżeli w Warszawie, na tym spotkaniu, zbierałem jakieś pochwały dla „Liter”, to odnosiły się one do tych pozycji, które choć w najmniejszym sensie odwoływały się do czytelnika ogólnopolskiego. Dotyczyły one więc przede wszystkim dyskusji — poetyckiej i marynistycznej, polemicznych

artykułów Pędzińskiego i Bądkowskiego, a do felietonu Róży Ostrowskiej z pierwszego numeru z br. nawiązał zaatakowany tam KTT (Toeplitz Młodszy) w numerze 6/65 „Kultury” w felietonie p.t. „Moralność propagandy”.

Ale jak dotąd Komitet Porozumiewawczy najwidoczniej działa w aspekcie organizacji dorocznych zjazdów i dla pracy w szare dni roku czasu nie starcza.

Najbliższe święto literatury powstałej na ziemiach odzyskanych odbędzie się w Olsztynie. Na lutowym posiedzeniu koledzy z tamtego środowiska literackiego zapoznali nas ze stanem zaawansowania prac organizacyjnych. Trzeba na wstępie podkreślić, że gospodarze proponują program ciekawy, bogaty, żeby nie powiedzieć — imponujący!

Zjazd będzie trwał trzy dni — od 21 do 23 maja br. W dniu otwarcia obrad wygłoszone zostaną przemówienia inauguracyjne i powitalne oraz referat wprowadzający kol. Władysława Ogrodzińskiego p.t. „Ruch literacki na Ziemiach Zachodnich”. Następnego dnia prace zjazdowe przeniosą się na teren poszczególnych sekcji: sekcja prozy w Lidzbarku Warmińskim dyskutować będzie nad referatem dr. Niedzielskiego — „Obraz bohatera w powieści pisarzy Ziemi Zachodnich i Północnych”; referat kol. Tadeusza Kajana p.t. „Ziemia Zachodnie i Północne w świetle literatury esejistycznej” będzie podstawą dyskusji w Reszlu, gdzie na zamku „znajdzie schronienie” sekcja prozy esejistycznej (krytyka, esej, publicystyka); w Kwidzynie pracować będą koledzy z sekcji literatury regionalnej, a w leśniczówce Pranie (miejsce związane z pobytem K. I. Gałczyńskiego) — sekcja poezji, której uczestnicy wysłuchają referatu o poezji współczesnej. W trzech punktach obrad dokonają się uroczystych aktów o charakterze okolicznościowym: w Lidzbarku Warmińskim odsłonięta zostanie tablica ku czci Ignacego Krasickiego (który jak wiadomo właśnie w tym mieście sprawował godność biskupa), w Reszlu — ku czci Wincentego Pola (tam mieszkali rodzice poety), a w leśniczówce Pranie poeci Ziemi Zachodnich i Północnych uczczą twórcę poematu „Niobe” otwarciem punktu muzealnego z jego pamiątkami. Na całej ziemi mazursko-warmińskiej odbędą się spotkania autorskie z uczestnikami zjazdu — pisarzami.

Na marginesie tego wydarzenia warto chyba odnotować wyjątkową staranność z jaką gospodarze zabiegają o przygotowanie tych spotkań. Już w lutym br. centrala „Domu Książki” w Warszawie przy współudziale wojewódzkiego „Domu Książki” ściągnie z całego kraju au-

torów uczestniczących w spotkaniach. Ambicją tego zamierzenia jest pełne nasycenie terenu egzemplarzami książek w takim stopniu, by przynajmniej kilkanaście egzemplarzy zostało sprzedanych wśród uczestników-słuchaczy. Dalszej popularyzacji autorów służyć będą publikacje o środowiskach i przedruki prac oryginalnych w prasie i rozgłośni. „Głos Olsztyński” jeszcze w lutym rozpoczął na swoich łamach prezentację wszystkich środowisk literackich ziem odzyskanych — co tydzień „rozkładówka”! Ech, Iza się w oku kręci. Specjalne numery „Panoramy Północy” i „Warmii i Mazur” poświęcone będą w całości problematyce zjazdu. Plakat okolicznościowy, okolicznościowy znaczek, datownik pocztowy, ekslibris „Domu Książki” dla książek autorów-uczestników zjazdu... Oczywiście zwykłą koleją rzeczy referaty zjazdowe będą opublikowane przed obradami w specjalnym biuletynie, a koledzy olsztyńscy wzorem gdańskiego, poznańskiego i wrocławskiego środowiska wydadzą swój „Słownik pisarzy Warmii i Mazur”. Nie daliśmy się tu uprzedzić!

Oczywiście w roku jubileuszu dwudziestolecia odzyskania tych ziem, charakter zjazdu daleko wykracza poza granice spraw warsztatowych i poza artystyczne dysputy. Według sprawdzonych informacji zeszłoroczny zjazd w Poznaniu znalazł oddźwięk w publikacjach prasy nie tylko krajów socjalistycznych i w NRF, lecz również w prasie włoskiej, francuskiej i angielskiej. Oczywiście w NRF oddźwięk ten miał odpowiednie ostrze wrogości, bo związane z działalnością ziomkostw, które szczególnie w

tym roku, czy tego chcemy czy nie, aktywizują swoją działalność rewizjonistyczną i antypolską. Polityków z NRF bolą w tej chwili dwie sprawy:

1) osiągnięcia literatury i kultury na ziemiach odzyskanych, oraz

2) kwestie związane z przebiegiem zagospodarowania tych ziem.

Toteż głównym argumentem w jałowych dysputach z „Gdańszczanami”, „Ślązakami” czy „Pomorzanami” zza Łaby, jest każde nasze osiągnięcie literackie, kulturalne i gospodarcze, a kolejność zagadnień dla spraw integracji w hierarchii ważności jest właśnie taka, jak ją uszeregowałem. Zresztą wszystkie trzy czynniki wzajemnie się w tej lekcji patriotyzmu wspierają i bez siebie istnieć nie mogą.

Staraniem Komisji Zagranicznej ZG ZLP w Zjeździe Olsztyńskim ma wziąć udział kilka delegacji pisarzy zagranicznych i to zarówno z krajów socjalistycznych, jak i kapitalistycznych. Ba, projektuje się zaproszenie przedstawicieli tych postępowych kół z NRF, które w kwestii Polski i jej granic, reprezentują stanowisko co najmniej trzeźwe. To chyba słusza inicjatywa.

Mój artykuł informacyjny zamykam wiadomością o jeszcze jednej imprezie, która odbędzie się pierwszego dnia zjazdu w godzinach popołudniowych — wielki wiec młodzieży z udziałem pisarzy i zaproszonych gości. Miejsce — pole bitwy z roku 1410. Grunwald. Sądzę, że tam przemówienie okolicznościowe prezesa Jarosława Iwaszkiewicza będzie tylko (niech mi Prezes wybaczy!) skromnym dodatkiem do wymowy tego historycznego miejsca.

RYS. TADEUSZ CIESIULEWICZ



NAS STWORZYŁ WIEK

JAN PTASIŃSKI

Piosenka nie zna granic. Stare to i wciąż aktualne powiedzenie. Sentymentalne przeboje obiegają świat. Ze wzruszeniem słuchamy piosenek z lat okupacji, tych śpiewanych w Warszawie i tych nuconych na biwaku partyzanckim. Jedne przypominają naszą młodość, drugie naszą niedolę i walkę. Chcę jednak mówić o pieśni rewolucyjnej, tej którą śpiewali robotnicy Warszawy, Berlina, Moskwy, tej która nie znała i nie zna granic ni kordonów. Miło to dla polskiego ucha, kiedy nasi bracia klasowi odlegli niekiedy o tysiące kilometrów nuć słowa „Warszawianki”. W mojej młodości szeregi polskiej rewolucyjnej młodzieży owładnęła popularna pieśń lotników radzieckich „nas stworzył wiek”. Nucono ją przed wojną w mieszkaniach robotniczych, w zakładach fabrycznych, na przedmieściach i na majówkach poza miastem. Rozbrzmiewała ona także w okresie okupacji wśród żołnierzy Armii Ludowej. Z tą pieśnią wiąże się jedno z moich partyzanckich wspomnień.

Był to maj 1944 roku. Nie wiem czy był pięknym i słonecznym majem. Na piękno natury mało kto z nas partyzantów zwracał wówczas uwagę. W pamięci mojej wrył się ten ostatni okupacyjny maj jako zielony, pachnący kwieciami i runem leśnym, słoneczny i pogodny miesiąc. Ostatni to raz przedzierałem się poprzez „zieloną granicę” odgradzającą Mazowsze północne od stolicy, drogą przez Puszcę Kampinowską, Wisłą w okolicach Czerwińska do lasów naczopskich położonych w pobliżu granic powiatu płońskiego i plockiego. Powracaliśmy z Władkiem Mazurem, Stasiem Wiśniewskim i Bogdanem Blochem po dwutygodniowym pobycie w Warszawie, na rozmowach w Komitecie Centralnym Polskiej Partii Robotniczej i Dowództwie Głównym Armii Ludowej. Razem z nami przebiegała się na teren naszego mazowieckiego okręgu pełnomocnik KC tow. Jadwiga Ludwińska („Marta”, „Sabina”). Być może, że ta piękna majowa pogoda jaka towarzyszyła naszej podróży utożsamia się u mnie z pamięcią o pogodnym i słonecznym maju 1944 roku.

Pod wieczór, któregoś to majowego dnia stanęliśmy na partyzanckich kwaterach rozłożonych w okolicznych wioskach wokół Sosenkowa. Zastaliśmy odpoczywający na biwaku, po rekonesansie w Puszczy Myszynieckiej oddział partyzancki „Czarnego” (Ignacy Siedlich). Chłopcy po długim i forsownym marszu zażywali zasłużonego odpoczynku, ubezpieczeni przez czuwającą nad nimi ludność wiejską. Ignaca znaleźliśmy dość szybko w okazałej zagrodzie położonej tuż przy niewielkim lasku. Był wprawdzie zmęczony, lecz szybko doprowadził się do porządku, gotów do rozmowy.

Po krótkiej, wzajemnej wymianie informacji, Ignas — jak gdyby nic — zakomunikował nam, że w składzie podległego mu oddziału znajduje się żołnierz niemiecki. Zimny dreszcz przeszedł przeze mnie. Każdy z długich okupacyjnych dni uczył nas nienawiści do hitlerysty, która utożsamiała się z nienawiścią do każdego Niemca deptającego naszą ziemię. Wprawdzie rozumieliśmy, że trudno jest obciążać zbrodniami popełnianymi codziennie przez długie lata okupacji cały naród niemiecki, lecz pamięć o morderstwach dokonywanych przez Werhmacht, przez administrację niemiecką, przez kolonistów, volvelterów i amstkomisarzy, nie mogła już o żandarmerii i gestapo, uczyła nas nienawidzić każdego Niemca i być czujnym nawet aż do przesady. Niejeden to z najbliższych kolegów za łatwowierność zapłacił życiem.

Zapewnienia Ignaca, że ów żołnierz niemiecki jest niemieckim komunistą nie ugasiły mego niepokoju. Wiedziałem już o działalności Komitetu Wolnych Niemiec, wielokrotnie towarzysze z naszego KC podczas pobytu w Warszawie wspominali nam o tym. Nawet na nasze kontakty mieli spoza frontu skakać jego przedstawiciele, którym należało pomóc i umożliwić wyjazd do Niemiec. Ale żołnierz niemiecki — komunistą w maju 1944 roku — wydawał się bardzo podejrzany. Czort wie kto to może być? — może nasłany przez gestapo człowiek, które wiedząc o naszej działalności i obliczu ideowym oddziałów AL tą drogą usiłuje nas zniszczyć? Wielu bowiem prowokatorów i szpicli wałęsało się w rejonie naszego działania. Nie mogłem sobie wyobrazić jak Ignas mógł zidentyfikować w żołnierzu Werhmachtu — niemieckiego komunistę.

Ignaca Siedlicha moje wątpliwości wcale nie zaskoczyły. Wiedząc, że był na nie przygotowany, może nawet przede mną musiał

OBOK DRUKUJEMY FRAGMENT
PRZYGOTOWANEJ DO DRUKU
NOWEJ KSIĄŻKI JANA PTASIŃ-
SKIEGO, AUTORA POWSZECHNIE
ZNANYCH WSPOMNIEŃ PARTY-
ZANCKICH PT. „Z MAZOWIEC-
KICH PÓL”, KTÓRE W 1963 R.
OTRZYMAŁY NAGRODĘ „POLI-
TYKI”

niejednego przekonywać. Był pewien, że Franz (bo tak nazywano w oddziale owego żołnierza niemieckiego) jest prawdziwym człowiekiem, że naprawdę jest niemieckim komunistą. Opinia taka ugruntowała się w nim na podstawie wielogodzinnych rozmów z Franzem, szczegółowego rozbioru każdego najdrobniejszego nawet faktu ze zmuszonego śledzenia każdego kroku Franza. Snuje Ignac następującą opowieść, która poczęła ugruntowywać jego przekonanie, że Franz może mówić prawdę.

Pierwszego już dnia po odbiciu się od miejsca akcji oddział zatrzymał się na odpoczynek w niewielkim lasku na terenie powiatu przasnyskiego. Chłopcy byli zmęczeni forsownymi marszami, legli pokotem na ziemię i szybko zasnęli. Czuwała tylko wzmocniona warta i czuwał dowódca oddziału, który rozumiał wielką odpowiedzialność za życie podległych mu ludzi. Sen jednak zmorzył wszystkich, zasnął Ignac przekonany, że czuwają podwołone posterunki, zdrzemnęli się wartownicy. Słońce było już wysoko, prawie w zenicie kiedy ocknął się dowódca i powiódł okiem po drzemających wartownikach. Przeszył go zimny dreszcz, w środku śpiących pokotem chłopców siedział spokojnie Franz i zaciął partyzancką broń. Zauważył zaniepokojenie dowódcy, zrozumiał uzasadnioną do siebie nieufność. Odłożył spokojnie broń doprowadzoną do porządku a twarz jego przybrała smutny wygląd. Pomyślał sobie — zauważa Ignac — artysta, mógł nas powyszczać wszystkich ale po co mu trupy, on chce więcej... wdrzeć się w nasze zaufanie, rozpoznać organizację i jej kontakty.

Wzięto Niemca na spytaki. Wy tłumaczono mu, że jesteśmy polskim oddziałem partyzanckim, nienawidzimy każdego Niemca niezależnie od jego przekonań politycznych, nie mamy najmniejszych podstaw aby ufać jego słowom wobec zachowania się w naszym kraju jego współbraci. Co się tyczy jego osoby, to nie ma innego wyjścia jak rozstrzelać go, w najlepszym wypadku z nadejściem zmroku kazać mu swobodnie odejść. Oświadczenie to zrobiło na Franzu przynębiające wrażenie, lzy napłynęły mu do oczu, ukrył twarz w dłoniach i rzucił się na ziemię. Zapanowało wśród chłopców długie milczenie, wszyscy spojrzeli po sobie, nikt nie odważył się na rozpoczęcie rozmowy. Wtem ktoś zanucił starą pieśń lotników radzieckich „nas stworzył wiek”, wszyscy chłopcy natychmiast podchwycili ją. Nasz Niemiec drgnął, widać było, że natężył słuch, że skupia myśli. I kiedy zwrotka kończyła się refrenem „wciąż wyżej i wyżej”, Franz niby rażony piorunem zerwał się na równe nogi, twarz rozjaśniła się blaskiem radości, a z ust jego popłynęły słowa pieśni „und höher, und höher”. Zaskoczeni chłopcy przerwali śpiew, a nasz Franz spokojnym już głosem wypowiedział „komuniści”.

Zainteresowani opowiadaniem Ignaca Siedlicha udaliśmy się razem z Władkiem Mazurem i Martą Ludwińską do zabudowań chłopskich gdzie wraz z grupą chłopców znajdował się Franz. Przedstawiono nas jako przedstawicieli partii i dowództwa. Franz podniósł się, stanął na baczność i na znak powitania głęboko skłonił głowę. Ubrany był w mundur żołnierza Werhmachtu, wysoki dobrze zbudowany, lat około 40. Siedliśmy na klepsku aby przeprowadzić z nim rozmowę. Nie jestem po tylu latach w stanie odtworzyć dokładnego przebiegu tej rozmowy, pamiętam jednak dokładnie jej treść, gdyż zapadła ona w moją pamięć.

Hermann Gondermann (takie było prawdziwe nazwisko Franza) urodził się i wychowywał w Hamburgu. Jako doker już w młodości swej wstąpił do związku młodzieży komunistycznej, a następnie został członkiem Komunistycznej Partii Niemiec. Zna z tego okresu przywódcę komunistów niemieckich Ernesta Thälmana z którym współpracował. Aresztowany został po dojściu hitlerowców do władzy i osadzony w obozie koncentracyjnym, z którego zwolniony został po kilkuletnim pobycie. Z tego okresu pozostała mu na pamięć szeroka blizna na rękę po wycięciu w obozie plachcie skóry z wytatuowaną pięcioramienną gwiazdą. Szczyty ramion gwiazdy widoczne były po zawinięciu rękawa i zostały nam okazane jako jeden z dowodów jego prawdziwości. Z początku wojny Hermann Gondermann został wcielony do Werhmachtu a po napadzie na ZSRR wysłany na front wschodni. Pod Woroneżem usiłował przejść na stronę Armii Czerwonej, ale to mu się nie udało. Skorzystał więc z pierwszej sposobności, gdyż nie mógł walczyć przeciw ZSRR i uciekł z szeregów Werhmachtu. Przez kilka lat ukrywał się u krewnych swej żony nie oglądając świata. W początkach 1944 roku prawdopodobnie wskutek denuncjacji został aresztowany wraz z całą rodziną i krewnymi. Przewieziony do sztabu swej dywizji stacjonującej w tym czasie w okolicach Przasnysza, skazany został na karę śmierci.

Udało mu się ująć, nie pamiętam dokładnie czy w wyniku rozbicia więzienia przez partyzantów czy po prostu zmylić czujność swych oprawców i uciec. Udać się „gdzie go oczy poniosą” natknął się na nasz oddział partyzancki.

Relacja Franza miała wiele dla nas jeszcze niejasności. Dziwne wydawało się nam, że jako znany komunistą został zwolniony z obozu koncentracyjnego i wcielony do Werhmachtu, dziwne było także przywiezienie go do macierzystej dywizji dla osądzenia, niejasna też była sprawa ucieczki spod topora katem. Nie zaliśmy wówczas ani sytuacji wewnętrznej Niemiec, ani ich wewnętrznych przepisów prawnych, zwłaszcza w Werhmachcie. Szukaliśmy więc odpowiedzi w pytaniach zadawanych Franzowi na tematy niemieckiego ruchu robotniczego. Cała nasza nadzieja na rozwikłanie powstałej zagadki spoczywała na Marcie Ludwińskiej, która

w okresie międzywojennym działała na terenie Górnego Śląska i stykała się z działalnością niemieckiego ruchu komunistycznego. Franz rozumiał nasze podejrzenia, toteż z całą szczerością odpowiadał na zadawane mu przez Martę pytania.

Potoczyło się opowiadanie Hermanna Gondermanna o sytuacji w Rzeszy i w Werhmachcie. W armii niemieckiej panuje nieznosna atmosfera wzajemnej podejrzliwości i nieufności. Nie można rozmawiać z dawnym kolegą czy znajomym, gdyż nie ma pewności czy nie zadenuncjuje do żandarmerii czy gestapo. Nie ma warunków dla prowadzenia w Werhmachcie jakiegokolwiek działalności rewolucyjnej. Wśród młodych roczników znajduje się przeważnie sfanatyzowana młodzież hitlerowska wierząca w zwycięstwo faszystów. Wśród starszych roczników obserwuje się zniechęcenie i przynębienie, gdyż czują iż nieuchronnie zbliża się klęska. Docierają do armii ulotki lub wezwania kierowane przez Komitet Wolnych Niemiec, znajdują się w skrzynkach z amunicją ulotki antyhitlerowskie, trafiają się partie złej amunicji. Ulotki jednak nie krążą wśród żołnierzy, gdyż każdy spieszy donieść dowódcy o faktach znalezienia ich. Panuje ogólnie atmosfera bojaźni i rezygnacji, a przy tym ślepe posłuszeństwo.

Niewiele od tego różni się sytuacja wewnątrz Niemiec. Nie ma zorganizowanego ruchu komunistycznego, czołowi działacze partii przebywają w obozach koncentracyjnych, byli członkowie partii zastraszani i rozproszeni. Wskutek terroru i prowokacji również wśród komunistów panuje wzajemna nieufność i podejrzliwość. Bywa tak, że znajomi z poprzedniej działalności boją się z sobą rozmawiać na tematy polityczne. Hitlerizm wytworzył atmosferę strachu, wzajemnej podejrzliwości, jednym słowem psychozę uniemożliwiającą powstanie opozycji nie mówiąc o organizacji ruchu oporu. Tak widział sytuację polityczną w 1944 roku Franz — Hermann Gondermann.

Długo jeszcze Marta Ludwińska ciągnęła rozmowę z Franzem, pytając go o różne szczegóły z okresu międzywojennego. Po zakończeniu rozmowy orzekła — zdaje się, że jest on naprawdę niemieckim komunistą, ale głowę za to trudno byłoby dać. Cóż było w tej sytuacji robić? — pozostawić go w oddziale Ignaca Siedlicha i obserwować jego zachowanie.

Nocą oddział odmaszerował na pogranicze powiatów płockiego i sierpeckiego. Z ciekawości interesowałem się losem Franza, wypytywałem o jego zachowanie, a nawet dwukrotnie spotkałem go podczas odwiedzin oddziału Ignaca. Czuł się Hermann Gondermann w oddziale partyzanckim Armii Ludowej dowodzonej przez „Czarnego” (Ignacego Siedlicha) doskonale. Polubili go chłopcy za jego odwagę, koleżeńskość, za nienawiść jaką żywił do hitlerizmu. Wypytywałem Ignaca o szczegóły z zachowania się Franza, o przykłady z jego działalności bojowej. To co pozostało w mojej pamięci z owych rozmów pragnę z obowiązku kronikarskiego zanotować.

Początkowo Franz nie czuł się zbyt dobrze w oddziale. Zdawał sobie sprawę, że wszyscy odnoszą się do niego z nieufnością. Nie dostał zresztą broni, co musiał sobie wytłumaczyć jako wyraz podejrzliwości w stosunku do niego. Na którymś z postojów zgineł jednemu z chłopców broń — pistolet. Zarządzono rewizję — pistolet został znaleziony w miejscu gdzie spał Franz. Wzmogło się w stosunku do niego podejrzenie, Ignac nosił się z zamiarem jego rozstrzelania. Franz przyznał się do zabrania broni, tłumaczył się nieufnością jaką się żywi do niego, pragnął oddalić się od oddziału, pójść na zachód, na teren Niemiec, w rodzinne strony i tam zorganizować ruch oporu. Płakał jak dziecko, zapewne zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Ignac zdecydował się na zaskakującą decyzję: — pozostawił Franzowi broń.

Hermann Gondermann nie zawiódł. Uczestniczył w szeregu akcji zbrojnych, rozbrajał posterunki żandarmerii niemieckiej, własnoręcznie wymierzał sprawiedliwość katom hitlerowskim, podkładał materiał wybuchowy pod transporty z bronią i amunicją. Zamieniono mu mundur szeregowca na mundur oficera niemieckiego, w którym występował przed rozbrojonymi hitlerowcami, volksdeutschami i kolonistami wyglądając do nich antyfaszystowskie przemówienia. A fama nosiła po całej okolicy, że w szeregach polskiej partyzantki walczą żołnierze i oficerowie niemieccy. Słowa jeśli padają na przygotowany grunt sięją nie mniejsze spustoszenie od kul.

Wśród wiru ostatnich miesięcy wydarzeń okupacyjnych zapomniałem o Franzu. Współtowarzyszy walki los rozrzucił po całym kraju. Ignacy Siedlich, Stanisław Wiśniewski i Władysław Mazur znaleźli się wśród pierwszych organizatorów władzy ludowej na Dolnym Śląsku. Marta Ludwińska skierowana została do Katowic a Bogdań Bloch na Pomorze Zachodnie. Nie było czasu myśleć o wspomnieniach partyzanckich, zwłaszcza, że było to dopiero wczoraj, a przed każdym stawały nowe zadania o jakich nawet nie śniło mu się. Przy okazji spotkaniu, zdaje się, że z okazji zjazdu uczestników walki zbrojnej zwołanym na 1 września 1945 roku w Warszawie spotkałem Ignacego Siedlicha. Opowiedział mi o dalszych losach Hermanna Gondermanna. Do dnia wyzwolenia walczył w jego oddziale partyzanckim, po wyzwoleniu umożliwiono mu kontakt z Komitetem Wolnych Niemiec. Podobno nawet poprzez Lublin pojechał do Moskwy, wezwany tam przez Wilhelma Piecka, skąd powrócił potem do swojej ojczyzny.

A zaczęło się od słów lotniczej piosenki „nas stworzył wiek”.



TERCJAN MULTANIAK

WOJCIECH KAWIŃSKI

GDY SIĘ ROZPALI OGIEŃ

Gdy się rozpali ogień odbiegają odległości
I kształty gęstnieją w tym lesie powietrza
Przez który płynie ptasie trzepotanie
I wody plusk i syczące
Topnienie śniegu

Srebrzem obrasta twoje doświadczenie
A dłonie gubią wszystko co odrębne
Od przyzwyczajęń

Do smaku
I ostrza

Gdy się rozpali ogień we wnętrzu zwierciadła
Kurczy las swoje drzewa
Wysycha gest na farbie żywego obrazu
I zamyka się wieko
Dymu sęp ocieżył

Do dna
Do samej suchości tych gwiazdzistych powiek

KRZYSZTOF NOWICKI

ZAKAZY

nie pokazuj i nie zapominaj języka
kredą nie rysuj na płócie
książek nie wrzucaj do rzeki
poręcze z daleka omijaj

bo ty chłopcze nie urośniesz
dziewczynek nie ciągnij za warkocze
bo ty chłopcze będziesz bandytą
ptaszka spłoszyłeś

mówią chłopcu dorośli
śliniąc palce i wytrzeszczając oczy
trzymając psy na łańcuchu
drzwi zatraskują przed sobą gwałtownie

mówią chłopcu dorośli
zatrzymując się łapczywie na ulicy
żeby opowiedzieć czyjąś klęskę
obrywają sobie guziki

WOJCIECH WITKOWSKI

Grzebykiem blask
wczesujesz we włosy

Tęsknisz za błękitną jaskółką
żeby sam świergot
bez ptaka

żeby niebo — skrzydełka szybkie
rześkie w dotyku

Moje oczy uwikłane w trawy
i ręce ciężkie od dni
i w głowie ich ciężar

Ile będzie mnie dla siebie
jeśli ja
to także ty

VI. 1962

BOGDAN JUSTYNOWICZ

Los — to gwiazdy nad imionami.
Domysł jak żdźbło wschodzące szepcze:
czyim żeś wierszem, pięknym wierszem,
czyim żeś wierszem, smutnym wierszem.
Wszyscy jesteście kowalami,
tej mojej gwiazdy kowalami —
tylko ja jeden nim nie jestem.

Na postrzępiony płomień leci
tłum młotów od uderzeń sinych.
Co robi młot? Młot formę czyni.
Skąd oczy gapia —
gdy rany łodzą przez sól płyniesz?
Tłoczą się, zawężając ręce
i pną się tam, gdzie mieszka — świeci
gwiazda nad niebem z krwi i gliny.

Ręce od chleba, głazów płowych
ostrzych i celnych, i te także
co są by ważyć w krajobrazie
placów, wysepek tramwajowych,
i twoje — unerwione cienie...
Dla tamtych — spokój ich kamieni,
a tamtym — ufność, ufność wielka:
ta sama glina, ten sam metal.

Tylko — gdy śniade ptaki z gwiazdą
w moim czerwonym morzu toną —
ono wysoko tętni wtedy.
Ptaki są po to, żeby spłonąć.
W obłoku magii tani nefryt
obrócę w biały blask i w radość:
płomień ma prawdy starcze czoło —
ogień co biegnie do popiołu,
co tańcząc biegnie do popiołu.

Los — to gwiazdy nad imionami.
Domysł jak żdźbło wschodzące szepcze:
czyim żeś wierszem, pięknym wierszem,
czyim żeś wierszem, smutnym wierszem?

Rys. J. Siewak





MŁODZIEŻ DLA MŁODZIEŻY

ROMUALD GOJŹEWSKI

Młodzieżowa Orkiestra Symfoniczna MDK w Gdańsku istnieje już pełny rok. Organizację orkiestry zaczęto od zwerbowania chętnych i zapalonych do muzykowania uczniów szkół ogólnokształcących i zawodowych z Trójmiasta. Zgłosiło się wielu chętnych, nawet spoza Gdańska, Sopotu i Gdyni, bo z podmiejskich osiedli i aż z Wejherowa, którzy zamiłowanie do gry na instrumentach muzycznych wynieśli ze szkół i ognisk muzycznych, bądź z nauki prywatnej. Spośród wszystkich kandydatów wybrano do orkiestry 60 chłopców i dziewcząt.

Inicjator i kierownik orkiestry mgr Stefan Trojanowski rozpoczynając pracę z zespołem nie stał bynajmniej drogą wysłaną różami. Zajęcia orkiestry w MDK odbywały się dwa razy w tygodniu. Było to stanowczo za mało. Nie można było jednak zwiększyć ilości prób ze względu na naukę w szkole. Mimo to w czerwcu ub. r. doszło do inauguracyjnego występu. Odbył się on w sali Państwowej Opery i Filharmonii Bałtyckiej w Gdańsku. W pierwszym koncercie, jako soliści, wystąpili śpiewacy POiFB. Premiera wykazała, że powstanie

i istnienie zespołu miało rację bytu, a trud i zapał młodzieży oraz organizatorów zespołu dały pozytywne rezultaty. Świadomość tego scementowała zespół, i młodzież z jeszcze większym zapałem zaczęła przychodzić na próby. Później nastąpiły wakacje i wraz z nimi wyjazd zespołu na obóz do Jeleniej Góry.

Praca nad repertuarem orkiestry rozpoczęła się od hymnu państwowego. Następnie przygotowano uverture Kurpińskiego do „Wesela w Ojcowie”, dwie arie ze „Strasznego dworu” Moniuszki i „Blues” Trojanowskiego. Na obozie letnim ćwiczone uverture Mozarta „Ruiny ateńskie”, Serenadę Schuberta, Koncert skrzypcowy Riedinga, Koncert klarnetowy Webera, Marsz Rakoczy’ego, Koncert fortepianowy Haydna, Menuet D-dur i Symfonię na smyczki Mozarta, zaś z repertuaru muzyki lekkiej „Santa Lucia” i Trojanowskiego „Dolnośląski wiatr”.

Obecny zasób utworów w repertuarze może wypełnić program dwugodzinny koncertu. Nie wszystko jednak nadaje się do zestawienia razem. Dalsza praca nad rozszerzaniem repertuaru winna rozwijać się w kie-

runku większego zróżnicowania. Podstawowy kierunek programowy winny wyznaczać popularna i lekka muzyka symfoniczna, oraz — co bardzo ważne ze względów dydaktycznych — klasyczna muzyka symfoniczna. W repertuarze winny się także znaleźć drobne utwory na instrumenty solowe z towarzyszeniem orkiestry, co da możliwość częstszego występowania bardziej uzdolnionym solistom oraz zaawansowanym muzykom i technicznie członkom orkiestry.

Po rocznej pracy zespołu można już myśleć o tym, jak ma działać i rozwijać się orkiestra. Dotychczasowy dorobek stawia bowiem poza dyskusją kwestię istnienia orkiestry. I tu wyłania się podstawowy problem. Nie można wyobrazić sobie długotrwałego i sensownego istnienia zespołu muzycznego — także amatorskiego — bez systematycznego dokształcania się. W składzie osobowym orkiestry MDK jest wielu instrumentalistów, którzy każdy utwór zagrają podobnie: tak samo w sensie artystycznym i technicznym, bez uwzględnienia specyfiki stylistycznej utworu i jego właściwości dźwiękowych. Istnieje więc pilna po-

trzeba stworzenia orkiestry warunków do podnoszenia kwalifikacji muzycznych jej członków. Młodzi muzycy, winni znaleźć jak najpełniejszą fachową opiekę specjalistów. Opieka ta powinna im zapewnić, przy uwzględnieniu ich możliwości czasowych, zdobycie zasobu wiadomości teoretycznych i umiejętności praktycznych. Będzie to oczywiście rzutowało na dalszy poziom artystyczny orkiestry. Istnienie takich konieczności dostrzega kierownictwo MDK i pierwsze kroki w tym kierunku zostały już poczynione. Pełne rozwiązanie tego zagadnienia, a także ustalenie metodyki pracy oraz zagadnienie profilu repertuarowego znajdzie się z pewnością w centrum uwagi utworzonej ostatnio Rady Artystycznej, w skład której weszło grono odpowiednich fachowców.

Komu ma służyć orkiestra? Jako orkiestra złożona z młodych muzyków powinna ona służyć przede wszystkim młodym słuchaczom. Zresztą tworząc orkiestrę planowano — że wykorzysta się ją w audycjach umuzykalniających dla młodzieży. Jak dotąd zamierzenia te pozostały w sferze projektów. Czyżby zabrakło chęci do ich realizacji? Nic podobnego. Sprawa rozbija się o tzw. „obiektywne trudności”.

Na czym polegają te trudności? Po rocznej działalności zespół ma na swym koncie 18 koncertów. Ilość pokaźna. Za sukces uważać można fakt, że orkiestra występowała nawet w Pałacu Młodzieży w Warszawie. Odbył się także występ orkiestry w Łęborku. Większość koncertów odbyła się jednak w... Jeleniej Górze. I tu tkwi sedno problemu: chociaż orkiestra swe istnienie oparła o gdański Młodzieżowy Dom Kultury za mało jest znana młodzieży Gdańska i Trójmiasta.

Można nawet zaobserwować zjawisko zabrania młodzieży uczącej się, w niektórych szkołach muzycznych, udziału w orkiestrze MDK. Motywuje się to tym, że szkoły muzyczne kształcą uczniów na muzyków zawodowych, natomiast orkiestra MDK jest amatorska. Z tego względu uczniowie szkół muzycznych nie mogą należeć do orkiestry, nawet w charakterze solistów.

Wydaje się, że przy odrobinie dobrej woli można byłoby zmienić te kryteria. Orkiestra symfoniczna MDK, chociaż istotnie jest amatorska — co wcale nie znaczy, że muzykowanie w tym zespole musi być amatorszczyzną — powinna korzystać z możliwości współpracy z solistami zaawansowanymi. Mogą być nimi także uczniowie szkół muzycznych.

Przed wszystkim jednak istnieniem i działalnością orkiestry winny się w większym, niż dotąd stopniu, zainteresować władze oświatowe i kulturalne.

Jest wiele młodzieży, która uczyła się muzyki i umie grać na instrumentach. Orkiestra Symfoniczna MDK w Gdańsku może przyciągać tę młodzież. Robiła to dotąd i będzie robić nadal. Jest to największą wartością istnienia tego zespołu. Wartość to tym bardziej cenna, że orkiestra może dawać młodzieży znajdującą się poza nią chwile wzruszeń estetycznych.

RAPSOD URZEKA

Był to pomysł szczęśliwy. Zrodził się przed 8 laty. Chodziło mianowicie o stworzenie teatru dla młodzieży szkolnej, która mimo licznych placówek teatralnych w Trójmieście jak Państwowy Teatr „Wybrzeże”, Państwowa Opera Bałtycka czy też „Miniatura”, odczuwała brak własnego teatru. Toteż inspirowane przez grono nauczycieli i wsparte przez grupkę entuzjastów, władze kulturalne Gdańska zdecydowały się powołać do życia Studio Rapsodyczne. Miało ono na celu pomóc szkole w poznawaniu arcydzieł literatury i krzewieniu kultury języka ojczystego. Popularyzować tę literaturę w sposób daleki od szkolnego werbalizmu i przygotowywać przyszłego widza, co jest również bardzo istotne, dla normalnego teatru.

Tak więc narodził się jedyny w Polsce teatr, przeznaczony wyłącznie dla młodzieży szkolnej, z którego dziś bardzo chętnie korzysta także dorosły widz.

Malwina Szczepkowska — znany reżyser i działacz kulturalny — podjęła się trudnego zadania, a obejmując kierownictwo studia, realizuje pierwszy, jakże udany program, czym zyskała sobie uznanie i co skłoniło władze do podjęcia decyzji kontynuowania działalności studia. Widowsko poetyckie o dużej sile wyrazu pt. „Stróście mi, stróście narodową scenę” było inscenizacją fragmentów „Wyzwolenia”, „Nocy listopadowej” oraz „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego.

Pokazanie pierwszego przedstawienia młodzieży szkolnej w Trójmieście i wielu miejscowościach woj. gdańskiego, przynosi Studio Rapsodyczne rozgłos i dalszą zachętę do podjętych i zamierzonych wysiłków. Przychodzą kolejne premiery: „Szkola obyczajów” — program zawierający fragmenty autorów polskiego wieku Oświecenia (Bogusławski, Zabłocki, Niemcewicz), „Sława dla Salomei” — fragmenty utworów Juliusza Słowackiego, „Ballada o Galileuszu” Bertholda Brechta (polska prapremiera), „Wierna rzeka” Stefana Żeromskiego, „Wojna i pokój” Lwa Tolstoja, „Gwiazdy dla wszystkich” — widowisko poświęcone życiu i twórczości Marii Konopnickiej itd.

Ale największym wydarzeniem w działalności Studia Rapsodycznego, to takie pozycje, jak „Pan Tadeusz” Adama Mickiewicza, „Poemat pedagogiczny” Antoniego Makarewskiego (utwór ten, powstały z bezgranicznej miłości do człowieka, budzący wolę życia i działania, studio dedykowało cierpliwym, wyrozumiałym, pełnym poświęcenia i bez reszty oddanym najpiękniejszej idei — idei wychowania młodego człowieka), „Człowiek z czasów” — program na XX-lecie Polski Ludowej (gorąco okłaskuje młodzież ten spektakl) i wreszcie niedawna premiera — „Cenniejsze niż życie” to przedstawienie składające się z fragmentów trzech dramatów Stefana Żeromskiego: „Sułkowski”, „Turon” i „Róża”.

I tak Studio Rapsodyczne doczekało się 20 premier, kładąc w inscenizacji główny nacisk na tekst literacki, a formą rapsodu rozbudzając wyobraźnię i wrażliwość młodego widza. Tekst literacki podbudowuje się plastyką ruchu, scenami pantomimicznymi, ilustracją muzyczną. Studio operuje uproszczoną dekoracją, odrzuca często rekwizyt, by posłużyć się umownym kostiumem.

20 premier to dorobek niemały. Oddajmy teraz głos młodzieży, niech się wypowie o swoim teatrze. A wypowiada się w listach, które napływają nie tylko z woj. gdańskiego, ale i innych województw. Jak wiadomo, Studio Rapsodyczne odbywało tournée po woj. woj. bydgoskim, lubelskim i wrocławskim.

Grzegorz Mrówczyński, uczeń Liceum Ogólnokształcącego w Oliwie, pisze: Gdańska młodzież lubi chodzić na spektakle studia. W rozmowach z kolegami zauważyłem sympatię dla tego zespołu i jego oryginalnej, pełnej umowności i symboli formy pracy. Myślę, że nie bez znaczenia jest tu dobór repertuaru.

Anna Wyroślak, ucz. kl. X z V Liceum Ogólnokształcącego w Gdańsku, konkluduje: Obecność na wszystkich sztukach wystawianych w Studio Rapsodycznym stała się w naszej szkole tradycją. Oglądane spektakle pomagają lepiej poznać utwór uprzednio czytany, zrozumieć jego ideę.

Olga Socha, ucz. kl. IX z III Liceum Ogólnokształcącego w Gdańsku, pisze: W skład repertuaru studia wchodzi pozycje, których na deskach innych teatrów nigdy nie zobaczymy.

Z innych listów dowiadujemy się, że młodzieży szkolnej odpowiada styl samego teatru — oszczędność kostiumów i dekoracji, pozwalająca skoncentrować się widzowi na słowie padającym ze sceny. Ze teatr jest nieocenioną wprost pomocą dla uczniów, że kształtuje w niej zrozumienie sztuki i pobudza do myślenia.

A kiedy studio znajdzie się w objęciu terenu, wystawiając swe sztuki dla młodzieży szkolnej w użyczonych salach MDK, PDK czy też kinowych, niemal po każdym spektaklu młodzież wyraża swe podziękowanie dla wychowawców i uczestniczy bardzo często w zaimprovizowanych dyskusjach. Ostatnio, po przedstawieniach studia w Lęborku, Tczewie i Sztumie, nauczyciele polonistki nie tylko dziękowali za dobre widowiska, ale powiedzieli: przyjeżdżajcie częściej. Jaki więc wniosek? Bardzo prosty: Studio podoba się i spełnia swe zadanie.

Opinie co do przydatności teatru są zgodne.

Opinię młodzieży podzielają również nauczyciele, osoby odpowiedzialne za wychowanie młodzieży.

Jadwiga Borawska — wizytator wychowania pozaszkolnego Kuratorium Okręgu Szkolnego w Gdańsku: Studio jest bezsprzecznie pożyteczne. Postuluje jednocześnie, by uwzględniało ono w swej marszrutie również miejscowości, do których przybywa rzadziej i wymienia Puck, Kościerzynę.

Mgr Helena Pękalska — polonistka z I Liceum Ogólnokształcącego w Sopocie i przewodnicząca Rady Artystycznej Studia mówi: Polonistki orzekły, że studio wiele pomaga nauczycielowi w pracy. Nie zastąpi go ani radio, ani kino, ani nawet telewizja, bo nie dają bezpośrednio kontaktu z widzem. Studio wychowuje młodego widza, przyszedł odbiorcą wszystkich dóbr kulturalnych, toteż sprawa krzewienia uczuć ludzkich jest sprawą ważną, godną bacznego uwagi całego społeczeństwa i wszystkich naszych władz.

Mgr Maria Wujtewicz, polonistka z II Liceum Ogólnokształcącego w Gdyni: „... takiego wesołego „Pana Tadeusza” myślnie nie znali, bo jak się czyta (cicho), to się wcale nie zauważa tego humoru, takiej charakterystyki osób, zwyczajów, świetnych dialogów, tylu komicznych sytuacji. Mickiewicz sam tu był i przez dwie godziny poł młodzież słowem — niesfałszowanym, nie zagubionym, swoim cudownym słowem wieszcza. I za to wielkie podziękowania dla studia”.

Mgr Aurelia Kwiatkowska, polonistka z Technikum Ekonomicznego w Gdańsku: Studio dla szkół to dobrodziejstwo. Pokazuje ono najbardziej celne utwory. Dłż nie można sobie wyobrazić Gdańska, który ma przecież Teatr „Wybrzeże”, operę, bez studia. Zbliża ono młodzież do teatru, sztuki, zmusza do czytania. Inaczej młodzież przeżywa utwór, gdy zobaczy fragment na scenie.

Zacytujmy jeszcze fragment z listu Zofii Makara, polonistki z Liceum Pedagogicznego w Szczepleszynie (woj. lubelskie): „Przyjazd Gdańskiego Studia Rapsodycznego młodzież naszego liceum przyjęła b. serdecznie. Z samą formą teatru rapsodycznego młodzież nasza zetknęła się po raz pierwszy i tym żywiej chyba reagowała na piękno słowa płynące ze sceny. Teatr rapsodyczny dzięki starannemu doborowi tekstów literackich, budzi najlepsze uczucia młodzieży, uczy jednocześnie współżycia z teatrem w ogóle. Osobiście żałuję, że nie mamy tego rodzaju placówki w Lublinie”.

Opinie — jak widać — są jednoznaczne, nie budzą zastrzeżeń. Osiągnięcia artystyczne studia są duże. Ale powstaje pytanie: czy studio pracuje w normalnych warunkach technicznych i czy ma pełne poparcie władz, odpowiedzialnych za kulturę. Trzeba stwierdzić, że w minionym ośmioletnim Studio Rapsodyczne nie pozbawione było kłopotów. Nie zostały one bynajmniej całkowicie zlikwidowane.

Przez okres czterech lat Studio Rapsodyczne prowadziła Malwina Szczepkowska. Organizacja studia — nowej placówki na Wybrzeżu, mającej służyć młodzieży szkolnej, nie była łatwa. Ale Malwina Szczepkowska, przy wydatnym poparciu ówczesnych władz kulturalnych, szczególnie Wy-

działu Kultury Prezydium MRN w Gdańsku, jakoś uporała się. Powstał zespół, uzyskano locum w Młodzieżowym Domu Kultury we Wrzeszczu przy ul. Wajdeloty 13, fundusze i rozpoczęto pracę. Z biegiem czasu, gdy studio zdobyło sobie uznanie i markę, nadszedł krytyczny moment. Poczęły działać jakieś wsteczne siły, podważające celowość istnienia studia. Czyżby to były obawy, że studio stanie się groźnym konkurentem, ale jakiej znowu placówki teatralnej. Mówiono nieoficjalnie o likwidacji studia. Rosły więc trudności i kiedy Malwina Szczepkowska zrzekała się kierownictwa studia, byliśmy o krok od upadku tego świetnie zapoczątkowanego i działającego od lat teatru młodzieżowego.

Znakomicie zapoczątkowane dzieło podejmuje Halina Dąbrowska — dyrektor, kierownik artystyczny i aktor w jednej osobie. Żarliwość twórcza i serdeczne umiłowanie sceny pozwalają przetrwać najtrudniejsze okresy. Czy całkowicie? Nie! Studio prowadzi smętny żywot, chociaż od 8 lat zbiera dobre recenzje i spotyka się z uznaniem młodzieży.

Do najbardziej oddanych temu teatrowi młodzieży należą aktorzy Zofia Piotrowska i Edward Rauch, pracujący w studio od samego początku. Studio w dalszym ciągu jest pod dachem, ale jakim? Korzysta z praw sublokatorskich mieszcząc się w MDK, w którym rozpoczęło swoją działalność. Pracuje w obskórnej sali, odbywając niekiedy próby w garderobach. Istnieje i działa — jak powiadają — na zasadzie tolerancji władz kultury, nie zaś dzięki życzliwości i realnej pomocy tych władz.

Studio Rapsodyczne — unikalna placówka kulturalna w kraju, firmowana jest przez Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Sztuki, które na działalność studia przeznacza rocznie 550 tys. zł. Jest to kwota stanowczo za mała. Trzeba co najmniej 800 tys. zł. Tę kłopotliwą sytuację ratuje Kuratorium Okręgu Szkolnego w Gdańsku, dopłacając do każdego 5-złotowego biletu 11.80 zł. Inaczej teatr przestałby egzystować. A skoro kuratorium dopłaca, więc widzi potrzebę istnienia studio.

Studio Rapsodyczne coś już dla młodzieży zrobiło i mimo otaczającego go splendoru jest jakby nieprawym dzieckiem Trójmiasta, tylko częściowo korzystającym z garnuszka państwowego.

Ba, studio nie ma osobowości prawnej. Ta dziwna, paradoksalna wprost sytuacja trwa od 8 lat. A przecież studio jest placówką stałą, wrosniętą już w pejzaż kulturalny Wybrzeża. Daje rocznie ok. 240 przedstawień, na które uczęszcza ok. 100 tys. uczniów z Trójmiasta i woj. gdańskiego.

Jeszcze w pierwszym okresie swej działalności studio musiało przezwyciężyć wiele trudności, usiłując przede wszystkim przekonać miejscowe czynniki oficjalne o potrzebie takiego teatru na Wybrzeżu. W jakim stopniu to się udało uczynić, potwierdzić mogą najlepiej fakty. Studio w dalszym ciągu popularyzuje szkolną lekturę, pogłębia kulturę naszego ojczystego języka, ułatwia głębsze poznanie i umiłowanie literatury pięknej, zmienia długie życiorysy na pełne oroku obrazy, pomaga nauczycielowi w wychowaniu humanistycznym młodzieży.

Czy właściwa jest linia repertuarowa studia? Bez wątpienia tak. Repertuar studia konsultowany i ustalany jest w porozumieniu z kuratorium i przy współudziale nauczycieli-polonistów, artystów, zasiadających w Radzie Artystycznej. Repertuar stanowi więc wizualną lekcję języka polskiego, sceniczną ilustrację lektury, dopełnienie szkolnej lektury, podanej w sposób bezpośredni i sugestywny. Młodzież więc odkrywa i poznaje piękno wielu utworów.

Studio jest teatrem zaangażowanym społecznie i ideologicznie, wywiera duży wpływ na kształtowanie poglądów młodego widza. Toteż Studium Rapsodycznym trzeba zająć się poważnie, stworzyć mu normalne warunki pracy. Wszak ośmioletni bilans jest dodatni. Nie należy go zatem zmarnować.

EUGENIUSZ MELECH

STARE TOTEMY WŚRÓD WSPÓŁCZESNYCH INDIAN

(REPORTAŻ Z BRYTYJSKIEJ KOLUMBII)

IRENA PRZEWŁOCKA



Z swym przewodnikiem po Pacific Northwest, Amerykaninem Budem, znalazłam się w Victorii, u indiańskiego artysty, Henry Hunta, znanego twórcy totemów.

Od wielu tygodni wydeptywałam tu ślady historycznych totemów, rzeźbionych i malowanych kolumn, czasem sięgających osiemdziesięciu stóp wysokości, na których piętrzą się jeden nad drugim najdziwniejsze stwory, nie istniejące w rzeczywistym świecie obok stylizowanych czasem niemniej cudacznie ptaków i zwierząt.

Znałam już źródło ich narodzin. Wiedziałam, że nazwisko Indianina było jego fortuną, gdyż wiązały się z nim różne przywileje, otrzymane w dziedzictwie po przodkach i mity przynależne rodowi. Stanowiło więc ono przedmiot szczególnej dumy. Nic zatem dziwnego, że można członek klanu pragnął swe imię wyeksponować i, ażeby pokazać — jak mawiał — „całemu światu” sławę swego rodu, rzeźbił w drzewie sceny z jego życia i w postaci posągów umieszczał przed Domem Wspólnoty Rodowej.

Każdy Indianin szczepu Haida, Tlingit, Kwakiutl czy Salish należał do klanu Orłów, Wilków, Kruków, Wielorybów lub innych zwierząt i każdy miał jako emblemat przynależne mu zwierzę. Wszyscy więc Kruce, Wilcy, Rozgwiazdy czy Bobry byli krewnymi. Hierarchia społeczna plemion Northwest wymagała zastosowania graficznych symboli dla określenia przywilejów rodu.

Wyznacznikiem ich były szczególnego rodzaju „herby” tak zwane cresty na ceremonialnych strojach, insygniach, regaliach i totempolach.

Tak więc ów sprofanowany dzisiaj w Ameryce jako nazwa pospolitej pasty do zębów crest był emblematem, wiążącym się z rangą właściciela i jako przedmiot czci pojawiał się w malowidłach i rzeźbie indiańskiej, pod postacią ryby, ptaka, zwierzęcia lub mitycznej istoty.

Plemiona Haida tatuowały sobie crest na ciele, przy pomocy farb pochodzenia mineralnego, zmieszanych z oliwą, wyżutą zresztą przez pracowite indiańskie squaws — z ikry ryb.

Wedle crestów nazywano domy plemienne. Istniały więc Domy Kruka, Orła, Hali-buta. Bardzo nieliczne Domy Wspólnoty są dzisiaj w użytku następców danego rodu, natomiast wiele posągów tzw. „posts” i totempoli znajduje się do dnia dzisiejszego w prywatnym posiadaniu rodów.

Wejście do Thunderbird Park, jeszcze jednej oazy zieleni w Victorii, mieście ogrodów i kwiatów, które zwisają w koszach nawet ze słupów latarni — stanowi brama-totem. Na dwu wypelzłych już ze starości, lecz jeszcze barwnych kolumnach, pełnych owych dziwacznych rzeźb, często nieczytelnych — opiera się u góry trzecia poprzeczna w postaci dwugłowego wieloryba-zabójcy.

Obok niej centralny totem z thunderbir-

dem, czyli mitycznym Ptakiem-Grzmotem, legendarnym sprawcą piorunów i burz.

Pośród totempoli Brytyjskiej Kolumbii te z thunderbirdem są najznamiensze. Wiedziałam w Vancouver w Stanley Park thunderbirda na historycznym totempolu, którego oryginał pochodził z King Come Inlet.

Kształt thunderbirda w Victorii wydawał mi się bardziej ludzki. Ptak miał ludzką oprawę oczu, tylko potężny dziób sięgał zakrzywiony nie ludzkiej paszczy.

Wpatrzyłam się w stojące przy totemach posągi rzeźbione ręką dawnych Indian.

Oflarny Bud, który towarzyszył mi z musu — swym „hurry-up” popędzał mnie, jak zawsze. Jako lekarza — bardziej, aniżeli martwe drewno, choć by nie wiem w jak atrakcyjnej postaci — interesowali go żywi ludzie.

— Here we are. Idę najpierw — postanowił nie zachęcony wiedząc, że wolę go skazywać na pierwsze starcie z Indianami, którzy zazwyczaj nie bardzo wylewnie witali u siebie białych przybyszów.

W nozdrza uderzył nas ostry zapach farb. Henry Hunt pracował w cieniu indiańskiego domu, będącego wierną rekonstrukcją dawnych plemiennych budowli tego regionu, wzniesionych z desek i bel czerwonego cedru. Młody, czarnowłosy, odwrócony profilem, stał pochylony nad swym warsztatem.

„Haj”, Mr.Hunt. Znamy pana nazwisko, bo

kto by nie znał! — zaczął jak zawsze umiejętnie Bud, zalewając Indianina wypróbowanym już wielokrotnie w czasie naszych niezapowiedzianych wizyt w rezerwatach potokiem argumentów uzasadniających nagłe najście i tak znakomicie spreparowanych, że nie sposób było stawiać okoniem wobec ich przegważdżającej siły.

Szerokonosy Indianin, o czarnych, mocno zarysowanych brwiach, z wyrazem niechęci na twarzy odłożył umaczany w ultramarynie pędzel, którym wodził po niesamowitym obliczu niesamowitej maski. Z połyskliwie czarnych oczu nie znikło jeszcze skupienie, w jakim trwał przed chwilą pochłonięty pracą i pogrążony w transie, w którym niewątpliwie główną rolę grała wyobraźnia, nie zawsze słabsza w starciu z rzeczywistością.

Ptaki śpiewały. Przez chwilę miałam złudzenie, że znalazłam się, jak kilka dni temu, w głuszy kanadyjskiego lasu wśród niebotycznych cedrów o korze jak z zastygłej lawy, sąsiadujących z madroną, gdzie na odmiane leciutka brązowa bibułka kory dawała się zrywać całymi płatami. Tylko zamiast tamtych puszczańskich, wydających trzaski koników polnych grały tu nasze polskie, jak dźwięczne brzękadła.

Mimo woli zostawiwszy Budowi ugadywanie Indianina poddałam się atmosferze niezwykłej scenarii. Stare cedry, stara indiańska budowa, stare totemy i dramatyczne maski — straszidła, przywodzące na myśl wszelkie niesamowite strachy dzieciństwa, wszystko — co stanowiło niezbędny rekwizyt do wskrzeszenia w wyobraźni tak samo dramatycznych ceremonii przeszłości.

Totemy, strażnicy czasów zapadłych w niepamięć i maski ich niezbędne akcesorium. Jedne wykończone, drugie dopiero wyciosane z grubsza, o rysach wyrzniętych dłutem i pasją twórczą, inne prawie surowe w wyłaniającym się opornie kształcie.

Z tą scenerią świata, który odszedł bezpowrotnie — nie harmonizował dochodzący nas zza ściany zieleni zgiełk miasta, natrętny, natrętny i przypominający natrętnie, że wszystko, na co tu patrzymy, to tylko rekwizyt historii.

— Czy wiesz, że ten indiański dom jest dziełem samego Martina Mungo? Przywitaj się — przywołał mnie Bud do rzeczywistości.

Wybąkawszy jakiś grzecznościowy frazes, zapewniłam indiańskiego artystę, że jego imię głośne jest i po drugiej stronie cieśniny Juan de Fuca.

Wciąż znajdowałam się pod pierwszym silnym wrażeniem tła, które stanowiło dom i dzień powszedni plemiennego rzeźbiarza.

Patrzyłam na gotowe już totempole nie bez wyrażonego w milczeniu uznania.

Widocznie atawizm sprawił, że i ten Indianin był pod urokiem mitycznego ptaka thunderbirda, sugestywnego wytworu prymitywnej wyobraźni.

„O, Wielki Ptaku-Grzmocie, ofiarujemy ci skórę karibu na mokasyny i pióra orle na pióropusz” — brzmiały mi w uszach słowa starej indiańskiej modlitwy.

— To jest thunderbird — rzekł Indianin dotykając niedużej rzeźby, z precyzyjnie wypracowaną głową, dziwnym układem skrzydeł, uniesionym wysoko w górę, jakby w chwili, gdy zerwał się do lotu. Na żadnym totempolu, jakie miałam okazję oglądać, nie widziałam tak ustawionych skrzydeł. To już było wewnętrzne widzenie artysty.

— Tam na szczycie ten sam ptak — wskazał Hunt pierwszą w szeregu rzeźbioną kolumnę. Pod nim wyrzeźbił wieloryba-zabójcę, żabę, człowieka z łososem w ręku i na dole niedźwiedzia.

Totemy „czytało się” jak kolumny chińskiego pisma od góry do dołu.

— Moi poprzednicy przedstawiali w swej sztuce wszystkie prawie zwierzęta ze swego otoczenia. Z łądowych — niedźwiedzia, bobra i wilka, z morskich lwa morskiego, fokę, rekina, wieloryba, z ptaków najczęściej orla i kruka. Inne też, ale rzadziej. No, i różne mityczne istoty.

W czasie bywania w rezerwatach indiańskich nasłuchiwałam się wiele baśni o Krukobohaterze, występującym pod najróżniejszymi postaciami, gdyż jako istota nadnaturalna mógł przybierać kształt człowieka, stać się duchem, kobietą, szpilką jodły, pogrążać się w głębiny oceanu lub ulatywać pod niebo. Indianie uważali go za dobroczyńcę ludzkości i przypisywali mu tysiące zasług. Niezliczona ilość baśni indiańskich osnuta jest na tle niezwykłych przygód Kruka. Wedle mitologii indiańskiej stworzył Kruk człowieka, Kruk przyniósł pogrążonemu w ciemnościach światu — jasność i słońce, zaszczepił w duszy ludzkiej tęsknotę do przygód i czynów niezwykłych, podarował ziemi jeziora i rzeki, był moralizatorem i karzącą ręką. Nic więc dziwnego, że w menażerii zwierząt, powtarzających się jako motyw w sztuce Pacific Northwest — rola Kruka jest naczelną i że może on występować w rzeźbie jako kombinacja wyznaczników ludzkich i przynależnych ptakowi.

Liczne totemy o kruku, jakie miałam okazję oglądać, przedstawiają go nie tylko jako crest klanów, lecz są także ilustracjami jego niezwykłych przygód. Raz — w czasie potopu, jaki nawiedził świat, kiedy to mądry ptak uleciał ku górze, wbił dziób w chmurę i tkwił pod niebem tak długo, aż opadły wody, drugi raz, w czasie wyprawy po słońce do Wodza Rzeki Nass, kiedy indziej o jego zejściu na dno oceanu, lub o przedziwnych wojażach w brzuchu wieloryba.

Usiłowałam dopytać się, czy zwierzęta i różne istoty przedstawione na totempolach są przypadkowym zestawem, ale Indianin zaprzeczył, dowodząc, że kompozycja elementów jest celowa i logiczna.

— Na szczycie totempola umieszcza się zwierzę, crest rodu. U plemienia Kwakiutl, z którego pochodzę, klany dzieliły się na dwie zasadnicze grupy: „Foki” i tak zwane „Quetqutsa”. W pierwszym odgałęzieniu Fok młodzie należeli do podgrupy „Wielorybów-Zabójców”, wodzowie do „Wielorybów”. Gdybym rzeźbił totempola na cześć któregoś z wodzów tego klanu, musiałbym na szczycie umieścić wieloryba. Ponieważ każdy ród prócz crestu klanu, posiadał drugi rodowy, którym było tak samo zwierzę, albo ptak, wyrzeźbiłbym je także.

Za ścianą zieleni o kilkaset kroków od nas हुआ inne życie. Raz po raz powietrze rozdzierały ryki syren z pobliskiego portu. Agresywna współczesność zakłócała ciszę zakątką, gdzie potomek dawnych plemion indiańskich wskrzeszał przeszłość.

— Na tym moim totempolu głównym crestem jest Thunderbird — rzekł Indianin.

Patrzyłam w pociemniałą z gorączkowego podniecenia twarz Indianina. Wypuszczałam coraz to nowe serie pytań. W odpowiedziach — wyrażał w prosty, często naiwny sposób znane sobie lub czasem tylko odczuwane prawdy artystyczne. Starłam się je zrozumieć i ująć we własne definicje.

Źródłem inspiracji twórczej dla dawnego plemiennego artysty był otaczający go świat, wzbogacony wytworami wyobraźni. W swej sztuce posługiwał się on umownymi wykładnikami treści niepojętych dla prymitywnej świadomości. Ponieważ — dla wyrażenia powtarzających się w legendach i baśniach postaci dobierał szereg symboli, praktyki te w konsekwencji prowadziły do powstania sztuki konwencjonalnej.

Baśniowe istoty w rodzaju niedźwiedzia czy wilka, żyjącego w głębinach wód, legendarnego potwora morskiego czy thunderbirda, przybierając postać ludzką — potęgowały stopień tej groteskowej symboliki.

Nie zawsze jest ona czytelna, niełatwo ją pojąć. A żeby choć w przybliżeniu uchwycić sens artystycznej interpretacji, trzeba znać dzieje rodu, dla którego je stworzono, a także mity z nim związane.

— Kiedy dawny rzeźbiarz zabierał się do pracy nad totemem, przyszły właściciel po-

sagu musiał mu opowiedzieć historię rodu i legendy tego rodu. A kiedy totempola ustawiano przed Domem Wspólnoty urządzano święto, w czasie którego wyjaśniano gościom, co rzeźby ilustrują — tłumaczył mi Hunt.

Przypominałam sobie, w jaki sposób pomagano mi „odczytać” alaskańskiego totempola, przewiezonego w Cape Fox do Saxman i nazwanego „Zabie Drzewo”.

Totempol był zamówiony dla upamiętnienia życia pewnej mojej kobiety z klanu Kiksetti, której indiańskie imię brzmiało: „Dwie-Żaby-Na-Dryfującej-Kłodzie”. Ród jej wedle legendy wywodził się od zaklętej w żabę dziewczyny, którą pod postacią urodziwego młodzieńca poślubił żabi wódz i następnie porwał na dno jeziora.

Totempoli widziałam dziesiątki, poznałam wiele związanych z nimi legend i ich wariantów. Same nazwy często inspirowały treść znanych baśni i naczelnie postaci na rzeźbionej kolumnie, jak — dla przykładu — „Słońce i kruk”, „Ptak-Grzmot i wieloryb”, „Gonaqadate — Potwór Morski”, „Człowiek porwany przez wydry”.

Nie sposób wymienić nawet nazw licznych totempoli, nie mówiąc już o przytoczeniu mitów z nimi związanych, wkomponowanych w różne rzeźbienia.

— Totemy więc miały być swego rodzaju biletem wizytowym danej rodziny? — powiedziałam przyglądając się drugiemu totemowi, na którym Hunt wyrzeźbił orla, kruka, wieloryba, norkę i lwa morskiego.

— That's right. Niektóre totempole są jeszcze dziś własnością rodów. Czasem kilku — informował Indianin.

Przyszedł mi na myśl totempol alaskański „Ostrygą-Skalna-Olbrzym”, który widziałam w Saxman na Alasce. Ponieważ wyrzeźbiono go dla uświetnienia pamięci czterech rodzin, widnieją na nim cztery elementy Domów Wspólnoty Rodowej: „Szponów Orla”, „Zapory Wodnej Bobra”, „Bobrego Ogona” i „Ostrygi-Skalnej-Olbrzyma”, przedstawionej ekspresyjnie w postaci twarzy ludzkiej, na którą palcem wskazuje umieszczony poza kolumną dziwny człowiek, wyrzeźbiony w półprzysiadzie. Z tym ostatnim Domem Wspólnoty wiąże się legenda o dramatycznej walce członka rodu z Ostrygą-Olbrzymem, wciągniętego w końcu do szczeliny skalnej, i ginącego w zacisku ogromnych muszelek.

Historyczne, oryginalne totempole Pacific Northwest, ostatnie egzemplarze fascynującej sztuki tego regionu topnieją. Jeszcze w czasie pierwszej wojny światowej, tylko w opuszczonym mieście Tuxekan na Alasce zachowało się ich sto dwadzieścia kilka. Gdy pragnąc je ocalić od grabieży, rozkradania i zniszczenia, w 1939 roku postanowiono przenieść je do Klawak — była ich już tylko połowa. Wiele zmurszało w przesyconym wilgocią klimacie oceanicznym, tym więcej, że Indianie nie mieli zwyczaju konserwowania lub odnawiania totemów. Wiele ich spotyka się w Brytyjskiej Kolumbii w tak zwanych „Totem Land” koło Burns Lake i na wyspie Vancouver.

Na Alasce zgromadzono je w Saxman, Ketchikan, Klawak i Mud Bight Village. Wiele dostało się do lamusów nieśmiertelności — muzeów lub w ręce prywatne. Liczne rozkradziono. Niektóre, jak to miałam okazję przekonać się sama, są jeszcze w posiadaniu indiańskich wspólnot rodowych. Część zmieniła się w bezkształtne murszejące szczątki, porośnięte trawą i roślinnością. Sama widziałam totempola, z którego szczytu wystrzeliło zieloniućkie drzewko.

Czy je uratuje dłuto i pasja twórcza takich jak Henry Hunt, których zresztą coraz mniej — wątpię.

Sztuka, która powstaje jedynie dla demonstrowania tego, co odeszło — może tylko powiełać, mutatis mutandis, dawne egzemplarze. Wygasło plemię, szczep, ród, wygasło źródło naturalnej inspiracji — wygasła i jej naturalna funkcja.

Kroki z korytarza podchodzą prawie pod drzwi jego pokoju. Słyszysz jeszcze kapanie wody z kranu. Stanął przed lustrem. Wolno ściąga koszulę i wpatruje się mrużąc oczy w masywną postać, nabitą ciałem. Włosy rzadko porastają czaszkę. Teraz zwichrzone przez koszulę sterczą we wszystkie strony. — Casanova — wyszeptał przesuwając ręką po zaokrąglonych ramionach. Obserwuje lekki grymas twarzy ledwie przypominający uśmiech, a po chwili widzi, że nad nosem pojawiła się głęboka bruzda, do której wpadają drobne strumyki zmarszczek, oddzielających brwi. Właśnie pod tymi żrudziakami łukami czuje klucie, napływające rytmicznie i obciążające powieki, że chciałoby się je zacisnąć przed światłem odbijającym się z lustra. Ale zdaje mu się, że jest w dobrej formie, że to pulsowanie dzieje się gdzieś poza granicami mózgu. Nabral ostrożnie wody w dłoń i przyłożył je do skroni. Odwrócił się i siadł przy niskim stoliku pod ścianą. Usłyszał skrzypienie sąsiednich drzwi, tylko nie mógł domyślić się których. Może otworzyła je jasnowłosa kobieta, którą zobaczył zaraz po przyjeździe. Może chce sprawdzić, czy nie zostawiła klucza w zamku od strony korytarza. Może wydało jej się, że usłyszała kroki kogoś oczekiwanego i odłożywszy książkę podbiegła do drzwi. Przypomnił sobie grę z dzieciństwa, gdy zaciskał powieki słysząc czyjeś kroki i zgadywał nadejście matki, która przychodziła do niego na dobranoc.

Była znowu cisza przedzielana kapaniem wody...

...Na śniadanie zszedł na dół, gdzie podano mu uczciwie przyrządzoną jajecznicę z dwóch, może z trzech jaj. Kelner utykając lekko na lewą nogę („proszę pana — to ta cholerna gołoledź”) życzył mu smacznego, więc zjadł z apetytem jeszcze trzy pulchne bułeczki z masłem. Podniósł głowę dopiero wtedy, gdy można było pomyśleć o papierosie, pierwszym tego dnia.

Pod oknem zobaczył mężczyznę o szarej, trójkątnej twarzy, którego obsiadło sześciu innych. Jeden z nich mówił po niemiecku wystarczająco niechlujnie, aby dać wiarę jego znajomości języka. Tamten, ku któremu skierowane były te obco brzmiące słowa przyjmował je z rzeczowym zrozumieniem. — Pewnie jacyś handlowcy — pomyślał patrząc na mężczyznę wyglądającego na cudzoziemca z dużym sygnetem na palcu, jaki można kupić w prywatnych sklepach galanteryjnych.

— Właściwie, to powinienś nosić obrączkę — powiedziała mu kiedyś żona. Popatrzył na jej prawą rękę, na palcu której pod szerokim pierścieniem domyślić się można było złotego krążka.

— To nie ma znaczenia — odpowiedział.

— Właśnie, że ma.

Nie pamiętał, gdzie schował świadectwo swych uczuć żywionych dla niej. Przestał nosić obrączkę zupełnie przypadkowo. Podobnie, jak inni zaczynają ją nosić, któregoś dnia niemal automatycznie umieszczając ją na palcu. Najpierw zapomnieli jej w łazience, potem na stole. Kiedyś potoczyła się pod szafę. Zawsze była nieco za luźna i wciąż obiecywał sobie, że da ją zwięzić. Złoto złośliwie migotało między zakurzonymi nogami szafy, gdy klęcząc zapalił zapałkę, która po chwili zapiekła go w palcu... Wytoczył ją stamtąd pogrzebaczem. Otrząsał z kurzu i położył do jakiegoś pudełka, albo ukrył w którejś z kieszeni kamizelki. Kto to może pamiętać, gdzie właściwie? I tak zostało do dnia, w którym zapytała: zgubiłeś? Pocieszył ją, że zdjął obrączkę, bo mu obtarła skórę z palca.

— Trzeba uważać — przestrzegła go, jakby na przyszłość. — Czemu nie nosisz obrączki? — zapytała go znowu po jakimś czasie.

— Nie wiem czemu — myślał. — Tak sobie. Ale ona pytała go cierpliwie i bez wyrzutu. W końcu odszukał obrączkę, w którejś z szuflad biurka. Kiedy to zobaczyła, dostrzegł w jej oczach ulgę, jakby obrączka miała znaczyć powrót do niej. Od początku zresztą wiedział, że ulegnie i włożył na powrót obrączkę. Przecież to było znacznie łatwiejsze od wielu innych rzeczy, których ona spodziewała się po nim. Kiedy mówiła mu, żeby więcej pracował, był bezradny.

— Popatrz jak inni. Wciąż coś wydają, a ty? Jestem niespokojna o ciebie. Wypada, żebyś dał znać o sobie od czasu do czasu.

— Wypada — myślał. — To jest nawet konieczne dla mnie samego, żeby od czasu do czasu... coś nowego. Trzeba by kiedyś zacząć na dobre. Jeśli to dobre zapowiadał od dawna, to przyzwyczajenie wymaga, by wreszcie spełnić oczekiwania pokładane w sobie z nadzieją. Z uporem — od kiedy pamięta. Tymczasem inni — tu znowu przypomniła mu się matka, która lubiła powtarzać — mnie inni nie obchodzą. Chcę, żebyś był taki, jak sobie życzę. On sam zaś myślał, że nigdy nie wiadomo, jak to jest z innymi, którzy zadreżają go swą aktywnością. Skąd można wiedzieć, ile lat szykowali swoje rzeczy, jak dojrzewała w nich ta gęstwiną pomysłów i konstrukcji, jak budzili się w nocy od słów nadbiegających nagle, na które w ciągu dnia czekali bezskutecznie. Znał to uczucie nagłego wyrwania ze snu, gdy zdawało się, że wystarczy zapisać uchwycony wątek, ale rano nie mógł sobie z tym poradzić. Zartowano z niego wtedy, że szukał wczorajszego dnia.

— Zazdroszczę ci — mówił mu kolega ze szkoły — osiągniesz coś konkretnego. Masz ciekawą pracę. Zrobisz w życiu coś, co się będzie liczyło. Uśmiechał się uprzejmie i nie protestował. Przez chwilę poczuł nawet satysfakcję, że tamten (tak to określili). Poczuł się pewniej w roli, którą mu przypisał kolega i którą on znał na pamięć. Wyprostował się na krześle i popatrzył na swe ręce, jakby zapomniane na stole. Wypróbował napięcie mięśni, sprawność palców. Każda robota powinna angażować mięśnie człowieka — po-

REKONSTRUKCJE

KRZYSZTOF NOWICKI

myślał — jeśli ją podjąć na serio. Przy pisaniu trzeba doprowadzić palce do zdrtwienia. Przerwać zaś pracę w momencie, gdy już sztywnieją wzdłuż obsadki i dopiero potem wyprostować palce na wilgotnej powierzchni drugiej dłoni. Dopiero potem można sprawdzać porządek słów powołanych posłuszeństwem mięśni. Tak rozumiał pracę, tak patrzył na człowieka wtaczającego z hałasem ciężkie beczki do samochodu, w którym palono śmieci, i na tego, który klęcząc na ziemi układał z kamiennej mozaiki chodnik. Albo na ludzi przeciskających się przez tłum z okrzykiem „uwaga”, żeby przenieść na drugą stronę ulicy ciężkie skrzynie z towarami. Tak patrzył na niosących zwoje kabli, w których jeszcze nie było prądu. Zawsze brakowało mu odwagi, żeby zapytać o coś mężczyznę przygotowującego narzędzia, albo odpoczywającego z papierosem nad włazem, z którego wydobywały się zakończenia drutów i strzepy izolacji.

Przechodził obok z udaną obojętnością, a oni wołali za nim, żeby uważał jak lezie, bo se powala garniturek i żeby oczów nie miał w dupie, jeśli nóg nie chce sobie połamać. Nigdy nie mógł się zdecydować na żadną rozmowę. Nawet wtedy, gdy wystarczyło zagadnąć ich i była do tego dobra okazja. I kiedy jego koledzy chwalili się, że znają życie tych ludzi, że to jest zupełnie proste, widział jak własne myśli i wyobrażenia mechanicznie przypisywali ludziom w poplamionych kombinezonach.

— Jak wam się pracuje? — pytali wesoło. — Zadowoleni jesteście? Niby tak, co tam... — odpowiadali. — A tak w ogóle, macie jakie trudności? — Każdy ma swoją drzazgę w skórze — mówili tamci, patrząc na siebie porozumiewawczo. Potem dziękowali za papierosy, które, jak to papierosy, zdrowe nie są, ale popalić można.

— Zazdroszczę ci, masz pracę z przyszłością — powtórzył kolega — myślę, że nie zapomnisz o starych znajomych. Nie wszystkim tak poszło, jak tobie. Uśmiechnął się uprzejmie, choć z większym, niż poprzednio trudem i pomyślał, że każdy ma swego kolegę ze szkoły. Takiego, który ocenia na wyrost i takiego, który jest pewien, że znowu zmarnował się człowiek, prawie na oczach przyjaciół, a tak się zapowiadał. Znajomi chętnie obdzielają się zdolnościami i wymieniają między sobą prawo do pięknej przyszłości, do którego to uczucia można się pewnego dnia przyzwyczaić. Wszyscy są zdolni, na swój sposób, każdy może liczyć na spełnienie pokładanych i nie pokładanych w nim nadziei. Zwłaszcza, przed zaśnieciem, rachuby takie należą do rzeczy łatwych i przyjemnych. Wszyscy są zdolni na swój sposób, usprawiedliwia się — strzepując okruszyny z obrusa...

...Na obiad podano mu barszcz z pasztecikiem i mózdzek cielęcy po wiedeńsku. Apetycznie sadzone jajko pokrywało niemal w zupełności lekko przysmażony kotlet. Jednak tu jest świetne jedzenie — mruknął z uznaniem. Kelner w zamyśleniu strzepywał z serwetki niewidzialny pyłek. O tej porze było pusto. Wśród białych obrusów zwracały na siebie uwagę fotele obite marchewkowym sukmem. Opodał jakiś szczupły jegomość opowiadał kelnerowi o swoich podróżach zagranicznych. („Widziało się coś niecoś. Paryż, Berlin, Wiedeń, Florencja...”). Z tyłu ktoś dowodził, że wyniki ostatniego konkursu pianistycznego nie oddają układu sił i talentów wśród młodych muzyków. Obejrzał się dyskretnie. Kobieta z szyją, o której się mówi, że jest przywidła, gwałtownie gestykulowała. Szara powierzchnia skóry unosiła się jak przypalony pergamin. W długich palcach trzymała bezwiednie pudełko papierosów, którym



Rys. J. Spiewak

wymachiwała energicznie przed oczami zdumionego mężczyzny. W powietrzu wyraźnie czuło się działanie wentylatorów.

Wyjrzał przez okno. Krople deszczu właśnie smagały szybę. Opuścił firankę. Na taką pogodę najczęściej się narzeka, że nadeszła przynajmniej o miesiąc za wcześnie, że ostatnio pory roku zupełnie straciły poczucie kolejności i w przyrodzie panuje straszny bałagan, że to dawniej było nie do pomyślenia. Zresztą ludzie byli inni, nie tak ciekawi wszystkiego jak teraz. Niedawno ktoś mu się zwierzył, że jesień doprowadza do rozpacz. Nie można nic robić. Człowiek siedzi z pustą głową. Wyobraził sobie człowieka z pustą głową, chyboczącą na wietrze, jak lekki balonik, utrzymywany przy tułowi

na cienkim powrozie kręgosłupa.

— Najgorzej to z pustym żołądkiem — powiedział mu mężczyzna, z którym jadł wczoraj kolację. — Nie mogę się nadziwić facetom na delegacji, co przez cały czas zjadają kanapki, przygotowane w domu i zapijają to wodą mineralną. Koniecznie mineralną, bo mówią, że jest pożywna.

Zdawało mu się, że pożera już kartę ze spisem dań, tak energicznie przesuwając palcem po nazwach potraw. Potem powiedział nagle: — Jak człowiek dużo pracuje, to i organizm musi odżywiać jak się należy. Długo dyskutował z kelnerem na temat sposobu przyrządzania szynki („byłoby jajeczko było świeże”). Radził się w sprawie zakąski. — A pan to pewnie ekonomista — zdecydował — jak wy planujecie, na miłość boską?

Wkrótce udało mu się przekonać sąsiada, że nie jest ekonomistą, w co tamten nie bardzo chciał wierzyć. Obruszył się i z niezadowolaniem z którym było mu nie do twarzy, otarł zwilgotniałe czoło chusteczką w czerwonej kratę („co za gorączka, czuje, że stracę tu apetyt!”).

Na deser poprosił o kawę. Miał nadzieję, że przyspieszy ona bieg krwi i minie ten nieznosny ucisk na oczu. Odsunął popielniczkę pachnącą nikotyną.

— Talenty nie rodzą się na kamieniu — powtarzał mu z uporem ojciec, paląc grube śmierdzące cygara, na które matka wciąż narzekała. Głupio można zawsze zrobić, to nie hańba, ale trzeba się w czas połapać. Póki nie jest za późno. Chcesz pomogę ci. Zaczyniesz jakieś studia, które będą gwarancją twojej przyszłości. Nie zaznam spokoju wiedząc, że mój syn marnuje w życiu wielką szansę, aby zostać normalnie — przyzwoitym człowiekiem, jak my wszyscy.

Nie odpowiadał. Ojciec przyglądał mu się złośliwie. Widział bladą twarz i ręce, z którymi syn nigdy nie wiedział co zrobić. Teraz były wilgotne. Próbował je ochłodzić, dotykając zimnych kafli pieca. — Nie wyglądasz mi na specjalnie uzdolnionego chłopca... — usłyszał na koniec.

Domyslał się, że żonie imponowali ludzie, którym wciąż udawało się to, czego ona oczekiwała od niego. Byli przeważnie młodzi o zgrabnych, ruchliwych, pewnych siebie sylwetkach. Najgorsze, że należeli do jego rówieśników. Dopiero na ich tle czuł, jak bardzo nie spełnia jej życzeń. Ale na to nie znajdował rady. Trudno byłoby mu zrezygnować ze swych przyzwyczajeń. Tak czuł nawet wtedy, gdy mu powiedziała, że jest śmieszny z tym ciągłym marzeniem o sukcesach i że widzi, iż zawiodła się na nim, bo jest za słaby i nigdy nie pokaże tego, na co go było stać. Potem łagodniej pocieszyła, żeby nie tracił nadziei, bo ostatecznie nigdy nie wiadomo, ale powinien wziąć się w ręce, zanim nie wszystko stracone i jest jeszcze ktoś, kto na niego stawia. Widział, że zrobiło jej się

żał i dlatego tak mówiła. I to patrzeć pełne współczucia było najgorsze, nie do zniesienia, więc przyrzekł, że się postara jak zapewnia chłopiec, że się postara nie zbrudzić spodni. A tymczasem matka i tak w to nie wierzy, bo zna dobrze syna, ale zawsze przyjmuje przyrzeczenia, żeby zrobić sobie przyjemność i jemu też trochę. Niech wie, iż traktuje się serio to, co mówi. Ona myślała podobnie — jeśli już i tak nie będzie lepiej, to niech przynajmniej jemu będzie lżej. Tak to odczuł wtedy i doszedł do wniosku, że ma bardzo dobrą kobietę przy sobie.

Ale potrafiła go drażnić z premedytacją — jak wówczas oceniał. Na przykład pytała, czy już widział książkę jednego ze znajomych i czy nie sądzi, że jest bardzo ładnie wydana. Przyglądał się kolorowej okładce, przewracał automatycznie kartki, liczył rozdziały. Oczywiście, jest ładnie wydana — myślał z zazdrością. Chociaż drażniły go plamy czerwieni na dole okładki. Uśmiechnął się złośliwie widząc cyfrę nakładu książki — daleko odbiegała od nakładu, w jakim wydaje się książeczki oszczędnościowe. A jednak patrząc na tę książkę czuł coś w rodzaju głodu, który zaczynał się już w palcach, którymi trzymał okładkę. Przypominał sobie autora z jakiejś rozmowy, w której zapowiadał druk tej właśnie powieści.

— Będzie to książka po trosze o każdym z nas. Spodziewam się, że odnajdziesz tam wielu wspólnych znajomych: jacy są naprawdę, gdy schodzą z codziennej sceny, na której ich oglądamy. Jacy są naprawdę, gdy już wracają do domu, zdejmują kapelusz i buty, zapalają radio i czekając na kolację mówią o nas to, co rzeczywiście myślą. Na pewno moja powieść wywoła poruszenie w środowisku...

Zawsze potrafił mówić ładnie zręcznymi, pełnymi elegancji zdaniami. Robił wrażenie, jakby chodził w białych rękawiczkach. Ręce miał bardzo zadbane — przypominał sobie — z równo obciętym naskórkiem. Pod wyostrzonymi paznokciami krew pulsowała spokojnie. Należał do ludzi, którzy starannie obierają skórę z jabłka, żeby nie uszkodzić miąższu i nie splamić spodni, ani obrusa. Skórka zwija się w równą spiralę, którą ostrożnie układał w porcelanowej popielniczce.

Jego książki kojarzyły mu się zawsze z taką nasyconą zapachem jabłka spiralną skórą zieleni. Gdyby robak zaufał mu — zastanawia się — i wdał się w podróż po tej krótej ścięcie, po pewnym czasie skręciłby sobie kark nie znajdując pożywienia. Nigdy nie powiedział o tym znajomemu. Chwalił przed nim czytane nieuważnie historie między ludźmi zagubionymi na stronicach, gęsto wypełnionych drukami. Chwalił opisy poprzedzające ważniejsze rozmowy między nimi, w których znajomy umiejętnie dobierał porównania, w których dbał o nastrój wypełniający obszar poszczególnych rozdziałów. Podkreślał większą, wciąż rosnącą umiejętność opowiadania.

Właśnie, w czasie którejś z podobnych rozmów pomyślał o podobieństwie jego książek do pedantycznie obranej skórki i zapragnął tego, czego ten wąski, wijący się pasek zieleni był wulgą namiastką. Żeby to był obszar, z którego można było polecieć na pysk, albo znaleźć miążz soczysty i gęsty.

Ale to nie jest proste — tłumaczył sobie później, — żeby znaleźć nowy wzór, według którego ma się układać skrawek zieleni, jeśli już pozostać przy tym porównaniu.

Właśnie dlatego był w tym hotelu, żeby odpowiedzieć sobie na pytanie, na ile to jest możliwe, żeby wreszcie przezwyciężyć te bóle głowy i wieczne pragnienie snu, ale jednocześnie ugasić głód dawno odczuwany zapełnienia białych kartek gęstym, pachnącym miąższem jakiejś dobrze znanej historii. Z tym postanowieniem przyjechał do tego hotelu jesiennego ranka i szedł tu wprost z dworca, pełen jak najlepszych nadziei. Wierzy, że wszystko to będzie tak osiągalne, jak zarezerwowanie pokoju, pokój oczywiście z widokiem na morze („chciałbym trochę powspominać, zresztą lubię morze”). Z tym postanowieniem wypełnił kartę meldunkową a potem rozpakował się w swoim pokoju, skąd regularnie schodził na posiłki w porze, w której spodziewał się znów zobaczyć kobietę o jasnych włosach i skośnych oczach, których spojrzenie dotkliwie zapamiętał. Przeważnie siedział nad stertą pogniecionych serwetek, próbując ze strzępów znanych sobie rozmów i obrazów — zrekonstruować twarz fascynującej go kobiety... Na kolację zjadł niewiele. Wystarczy sałatka miętowa i dobra herbata. To wszystko, żeby przed snem nie przeciążać żołądka. Herbatę zostawił sobie na koniec, żeby nie była za gorąca mieszał ją długo w obawie, żeby nie była za słodka. Wokół zajmowano coraz więcej stolików, zbliżała się pora dansingu. Jeszcze czekał z zaplaceniem rachunku. Wciąż ludził się, że może jeszcze nie warto iść na górę. W którymś momencie zobaczył tę kobietę, jak weszła do restauracji z jakimś wysokim mężczyzną w czarnym ubraniu, o spokojnych, łagodnych ruchach. Zdawało mu się, że ten mężczyzna mieszał, w którymś z pobliskich pokoi. Siedli gdzieś za filarem, że nie mógł ich dojrzeć. W tej chwili poczuł, jakby mu coś odebrano. Pomyślał nawet o wyjeździe.

Ale w końcu i tak wiedział, że wstanie i po zaplaceniu rachunku („Smakowało panu? — Dziękuję, reszty nie trzeba”) wyjdzie stąd i pójdzie długim korytarzem, wyłożonym po brzegi czerwonym dywanem. Ona pewnie nie odwróci w jego stronę nawet głowy. Nie będzie miał prawa czuć żalu. Potem usiadzie przy niskim stoliku pod ścianą. Może zapali papierosa („trzeba spróbować fajki, za dużo pałę”). Będzie słuchał niespokojnych kroków i denerwującego skrzypienia drzwi w pobliżu swego pokoju.



15 MINUT Z PROFESOREM WIKTOREM BRÈGY

Ten kwadrans oczywiście w przerwie prób do najbliższej premiery, oczywiście w kawiarni Opery Bałtyckiej i oczywiście — przy czarnej kawie.

JA: — Panie Profesorze, jaki i kiedy był pierwszy kontakt Pana z instytucją, którą dziś znamy, jako „Państwową Operę i Filharmonię Bałtycką”?

PROF. BRÈGY: — Ponad 15 lat temu, bo w 1949 r. To odpowiedź na pytanie, kiedy? A jaki? No cóż, przy Filharmonii Bałtyckiej zebrała się grupa młodzieży ze szkół muzycznych, częściowo uczącej się, częściowo już dyplomowanej — i to był nasz trzon solistyczny. Ponadto spora grupa amatorów entuzjastów pięknej muzyki. Ta grupa, to pierwszy chór operowy. Ludzie zupełnie surowi bez muzycznego wykształcenia, bez żadnego przygotowania

scenicznego, ale za to ambitni i niezwykle pracowici. No i ten cały prawie amatorski zespół przygotował „Onieginą”, którego reżyserowałem. Premiera odbyła się w 1950 r. A ta instytucja zwała się wówczas „Studium Operowym”.

JA: — Kiedy Studio przekształciło się w Operę Bałtycką?

PROF. BRÈGY: — Dokładnie 1 maja 1953 r. Studio istniało 6 lat — jak już wspominałem — mój kontakt datuje się od 1949 r., a więc jeszcze przedtem Studio stawiało pierwsze kroki. Ogółem sześciolatek okres istnienia Studia zrodził 6 operowych premier. W chwili gdy Studio przekształciło się już w operę państwową, miała miejsce weryfikacja solistów i chórzystów. Trzeba przyznać, że ci amatorzy z przed 6 lat, w chwili weryfikacji, nie byli już amatorami. Studio okazało się dobrą szkołą. W roku 1964 opuściłem Wybrzeże i osiedliłem się w Warszawie, ale z Operą Bałtycką kontaktu nie traciłem, bo reżyserowałem tu pół jeszcze kilka oper. „Krakutuk”, „Peter Grimes”, wznowienie „Onieginą” i w tej chwili — „Żywot rozpustnika” Igora Strawińskiego.

JA: — „Żywot rozpustnika” to aktualna premiera Opery Bałtyckiej. Może kilka słów na ten temat.

PROF. BRÈGY: — To nie tylko aktualna premiera Opery Bałtyckiej, lecz również i polska prapremiera. Jest to pozycja programowa nie podobna do żadnej z dotychczas u nas wystawianych. Przede wszystkim Strawiński: oryginalny, który łączy w swej twórczości klasykę z barokiem, impresjonizmem i groteską. Zresztą

nie tylko muzyka „Rozpustnika” jest taka. Cała treść opery jest jedną wielką zabawą w teatr. Zabawą niezwykle ciekawą, łączącą bowiem w sobie tragedię z żartem, fantastykę z realizmem, miłość z wyrachowaniem, rozpustę z cnotą. Bałtyckiego „Rozpustnika” inscenizuje plastycznie Krzysztof Pankiewicz i wydaje mi się, że czyni to zgodnie z charakterem dzieła, który określiłem przed chwilą jako „zabawę w teatr”.

JA: — Czy praca nad tą pozycją programową — odpowiadała Panu?

PROF. BRÈGY: — Przyznam się, że ja szczególnie lubię prapremiery, a już w prapremiach polskich — specjalizuję się. W Gdańsku przygotowałem kilka lat temu prapremierę „Krakutuka” Szeligowskiego, w Poznaniu — „Komendanta Paryża” Rudzińskiego, w warszawskiej Operze Objazdowej — „Andrzeja z Chelmu” Ryty, w Łodzi — „Damy i huzary” Kamińskiego, no i w Poznaniu — „Manru” Paderewskiego. Ta ostatnia pozycja nie była wprawdzie prapremierą, ale Poznań wystawiał ją pierwszy po wojnie.

JA: — Ostatnie pytanie, Panie Profesorze. Dziś, w 15 lat po pierwszym kontakcie Pana z naszym zespołem, realizuje Pan „Rozpustnika”. Jak zdaniem Pana wygląda porównanie ówczesnego Studia z dzisiejszą „Operą Bałtycką”?

PROF. BRÈGY: — Odpowiem szczerze. Obaj z dyr. Łatoszewskim marzyliśmy o tym, by Studio pozostało Studium. By było niejaka jedyną w Polsce szkołą operową, która uzupełniałaby wykształcenie muzyczne nabywa-

ne w szkolnictwie muzycznym — wykształcenie scenicznym, którego wokaliści są zupełnie pozbawieni. Niestety, nasze propozycje, nasze zamierzenia nie zostały zaakceptowane. Ze Studia zrodziła się opera, a operowi śpiewacy jak byli bezradni aktorzy — tak są do dziś. Napisałem zresztą na ten temat rozprawkę wydaną w ubiegłym roku przez Katedrę Wokalistyki przy Wyższej Szkole Muzycznej w Warszawie, gdzie jako śpiewak i reżyser w jednej osobie, a przymiarem swoje zdanie na temat przygotowania wokalistów do pracy w teatrach muzycznych. Nie tylko zresztą wokalistów, bo dotyczy to również reżyserów. Nie zawsze znakomity reżyser dramatyczny radzi sobie z operą. Najczęściej sobie nie radzi w ogóle. Problem wymaga jakiejś decyzji, jakiegoś rozwiązania. Zobaczmy, może przyszłość to decyzyjnie i to rozwiązanie przyniesie.

Chciałbym tylko podkreślić, że ogromną zmianę na plus zauważyłem w gdańskim balecie. Rozwinął się on ogromnie i niesłychanie dojrzał. W „Rozpustniku” są również scenki baletowe, mające jednak charakter pantomimy.

JA: — Ponieważ czas przeznaczony na przerwę w próbach dobiega końca — dziękuję Panu Profesorowi za rozmowę. A naszych Czytelników informuję: w chwili, gdy czytacie niniejszy numer „Liter” jest już po premierze, i dzieło Strawińskiego znajduje się w aktualnym repertuarze Opery Bałtyckiej.

DO-SI



O KULTURZE PUBLICZ- NOŚCI I INNYCH TAKICH

Pisałem niedawno na łamach gościnnych „Liter” o wrocławskim festiwalu teatralnym. Wrocław ma szczęście do festiwalu. Nie przebrzmiały jeszcze w naszych uszach słowa pracownika Wydziału Kultury, uroczystie zamykającego V Festiwal Sztuk Współczesnych, a już ten pracowity człowiek otwierał III Festiwal Muzyki Współczesnej, by w niewiele godzin po zakończeniu tegoż z niezmiennym optymizmem zainaugurować Festiwal Małych Form Teatralnych. Z góry wyjaśniam, że rozważania poniższe nie będą dotyczyć żadnego z tych dwóch festiwalu. Co prawda, gdy pomyślę, co bym mógł przeczytać o sobie w „Głosie Wybrzeża” po takiej recenzji z festiwalu muzycznego... Po wspomnianym sprawozdaniu z festiwalu teatralnego ta codzienna gazeta (o nakładzie, bądź co bądź, nieco większym niż „Liter”) doniosła o mej skromnej osobie: „aktor, reżyser i teatrolog”; o ile dwa pierwsze epitetu zmuszony byłem uznać za nieporozumienie, o tyle ten ostatni mile mnie pogłaskał. Jeśli napisałem wyżej, że moje uwagi nie będą dotyczyć festiwalu, nie znaczy to, że nie będą się z nimi wiązały, bo będą. Chciałbym mianowicie zająć się tutaj również problemem sali koncertowej, teatralnej, czy kinowej, lecz tą stroną problemu, której w naszej krytyce nie poświęca się prawie żadnego miejsca.

Zasadą każdego widowiska — generalnie rzecz biorąc — jest to, że biorą w nim udział dwa zespoły. Żeby wykluczyć ewentualne nieporozumienia, z góry zaznaczam, że zwrotu „biorą udział” użyłem świadomie nie tylko w odniesieniu do zespołu twórców i realizatorów widowiska, który to zespół faktycznie i aktywnie bierze udział w programie, ale i w stosunku do tego przypadkowego, zbiorowego tworu, który z rampy lub sprzed ekranu — w pozorowanej zewnętrznej bierności — śledzi wysiłki artystów. Ten zespół — zwany dalej publicznością — też bierze udział w spektaklu; jestem oddanym zwolennikiem teorii, która twierdzi, że pomiędzy salą a widowiskiem (w wy-

padku form widowiskowych nie posługujących się ekranem, oczywiście) istnieje zjawisko tzw. sprzężenia zwrotnego.

Niech ktoś nie sądzi, że znajduję w dalszym toku felietonu jakieś komplementy. Nasza publiczność nie należy do idealnych. Nasza publiczność — nie będę tego krył — jest fatalna.

Polski bywalec operowy, trafniejszy przypadkiem do jakiegokolwiek opery poza granicami naszego kraju, że po zdziwieniu konstataje, że po pierwszym ruchu pałeczki dyrygenta słuchacz milknął i — jeśli on, ten bywalec, jest melomanem — na pewno z niemałym zachwytem aprobując ten fakt, przyzwyczajony do polskiej zasady, wg której uwertura wpływa w akompaniamentie rozmów krewnych i znajomych, którzy przecież pięć lat się nie widzieli, a gwar szmerów i szeptów na widowni milnie dopiero, gdy „widać”. Ale nasz bywalec przeżyje większe zaskoczenie. Mając w pamięci te zrywające się co chwilę z ciemnych sal podczas trwania spektaklu stada oklasków, zauważy, że tamtejsza publiczność komasuje swój aplauz do momentów najbardziej niezbędnych i wyraża klaskaniem swe ukontentowanie w miejscu specjalnie przeznaczonym na to, czyli po zakończeniu przedstawienia. To znaczy w tym momencie u nas, gdy część publiczności kurczowo zaciskając w dłoni numerek gna co sił w nogach do szatni, a druga część — myśląc ze zgorzaniem o tych ścigających się a z niepokojem o łokku w szatni, wstrzymywana może oporami wewnętrzny i może widokiem kilku nadętych nadgorliwców bijących brawo — robi to samo w wolniejszym tempie, znajdując po drodze chwilę czasu na klepienie w dłoń.

Klaszcze się u nas natomiast często i mocno w czasie spektaklu, zagłuszając muzykę lub słowa. Ja rozumiem, że klaskaniem chcemy wyrazić nie tylko naszą aprobatę, ale i fakt, że z

nas przecież koneserzy, że umiemy ocenić to, co dobre, że sygnalizujemy w ten sposób wyrobienie naszej wrażliwości estetycznej. Tylko ma to być miejsce — zwyczajem wyrobionym w ciągu długiej tradycji teatralnej — po zapadnięciu kurtyny. Nasuwa mi się tu wspomnienie z oglądanego niedługo w Warszawie „Jeziora Łabędziego”. Reżyser przedstawienia wpadł na nieszczyśliwy — jak się okazało — pomysł zastosowania kilku tricków do ostatniej sceny baletu, podczas której wzburzone jezioro ma wystąpić z brzegów i pochłaniać bohatera. I tak to, co dotychczas uchodziło za podłogę, zaczęło naraz w oczach widzów falować i otaczać coraz wyższymi falami szamoczącego się tancerza; na domiar złego potężne makiety drzew poczęły się z piekielnym szelestem poruszać, a scenę rozświetlały raz po raz niezmiernie bliskie. Widownię ogarnął nieopisany entuzjazm. Ludzie brawo co sił w dłoniach, wstawali z miejsc, jakby ujrżeli na scenie jakiś najnowszyny wynalazek polskiej techniki, należało jeszcze tylko oczekiwać, że rzuci się w zachwycie sobie na piersi, wybaczą nawzajem grzechy etc. Nie muszę chyba dodawać, że cały apetyczny kejs muzyki Czajkowskiego diabli wzięli. Melomani zrozumieją me uczucia...

Nie zdołałem w krótkim felietonie załatwić wszystkich spraw, które mi leżą na wątrobie. Spraw, czy plag. Bo bywają i plagi: młodzież szkolna, tzw. publiczność niedzielna... Jawi się tu przed oczami duszy mojej pasjonujący problem etyki zbiorowiska stanowiącego publiczność. Ale wydaje mi się, że te wszystkie bolączki naszej widowni można by wywieść z jednej, wspólnej przyczyny. Stanowiąc publiczność zbyt często nie posiadamy świadomości faktu, że jesteśmy w kolektywie. A więc i tu dewiza: myślimy więcej o innych? Tak. O sąsiadach i aktorach.

MIECZYSLAW ORSKI



MELPOMENA

Z
OKIENKA

Teatr TV zdołał już na dobre ugruntować swoją pozycję w programach tygodniowych naszej telewizji. Ba, są nawet tacy, którzy stwierdzają (z całą stanowczością), że poniedziałkowe spektakle tego teatru są najmocniejszą pozycją programów. Sam zaliczam się do entuzjastów teatru telewizji. Lubię oglądać zarówno spektakle nadawane w poniedziałki, jak i w inne dni tygodnia. Np. spektakle „Studia 63” nadawane przeważnie w środy. I wcale nie przeszkadza mi, że repertuar teatru TV jest eklektyczny, że obok Broszkiewicza można zobaczyć Szekspira, obok Sofoklesa — Słowackiego, obok

Fredry — Dürrenmatta itp., itd. Teatr TV jest teatrem dla milionów, musi więc grać wszystko, musi uwzględnić w repertuarze gusty i potrzeby tych milionów. Są jednak pewne „ale” w teatrze TV, o które warto się posprzeczać z tymi, którzy układają jego repertuar oraz z tymi, którzy go następnie realizują.

Po pierwsze — jest on, według mnie, zbyt monotony. Za dużo w nim sztuk poważnych, a za mało rozrywkowych. Myślę, że można by te proporcje, przy odrobinie dobrej woli, łatwo wyrównać.

Po drugie — za dużo w nim przeniesień z teatru. A przecież to, co dobre w normalnym teatrze nie musi być dobre w telewizji, i na ogół też nie jest. Po trzecie — teatr TV za mało realizuje takich scenariuszy, jak „Ta wieś Mogiła” Jerzego Broszkiewicza. Podobno nasi pisarze nie kwapią się do pisania widowisk telewizyjnych i stąd ta posucha, stąd przeładowanie teatru TV normalnym teatrem, stąd ciągła gonitwa za rozmaitymi przeróbkami, na które nie zawsze autorem starcza pomysłu. Wniosek z tego prosty: nasza telewizja nie umie „kupić” pisarzy, nie chce być dalekowzroczna. Teatr TV istnieje już 10 lat i przez 10 lat nie potrafił wypracować sobie własnej, odrębnej formy widowiska.

Inna sprawa, o którą warto się

sprzeczać, to sprawa realizacji Szekspira w telewizji. Jerzy Antczak powiada, że Szekspir jest autorem bardzo telewizyjnym. Wierzę mu, ale mimo wszystko, powinien to udowodnić. Oglądaliśmy już sporo „Szekspirów” w teatrze TV, i wszystkie były mało udane. Szekspir pokazany w telewizji przestaje być (jak dotąd) drapieżny, ułatwie zęh poezja, zamazują się plany (wyrażnie u Szekspira zaznaczone i rozgraniczone), nie wabi kolorem. Może znajdzie się taki zespół, który będzie umiał pokazać w telewizji pełnego Szekspira, takiego do jakiego przyzwyczailiśmy teatr normalny. Ma się rozumieć z uwzględnieniem całej telewizyjnej specyfiki. Sądzę jednak, że to będzie dopiero wtedy możliwe, gdy telewizja wychowa sobie swoją kadrę reżyserów, reżyserów nie zarażonych teatrem normalnym.

A propos reżyserii. Adam Hanuszkiewicz, długoletni główny reżyser teatru TV, dopracował się odrębnej i dość oryginalnej techniki reżyserowania w TV. Cóż z tego, kiedy poszedł sobie do teatru normalnego. Jerzy Antczak, jego następca, prawdopodobnie postąpił tak samo, bo skoro Ireneusz Kanicki, główny reżyser łódzkiego teatru TV objął w tym sezonie teatr dramatyczny, to wygłąda na to, że wędrowki te staną się regułą. A szkoda, bo teatr TV trzeba odebrać i w grze i w reżyserii. Nie robią

tęgo ludzie, którzy wciąż będą się uczyć abecadła TV.

A zatem teatrowi TV potrzebne są nowe formy. Nowe formy, jak mówi jeden z bohaterów komedii Czechowa. Formy te muszą narzucić przede wszystkim pisarze. Teatrowi TV potrzebna jest stabilizacja, przynajmniej na stanowisku głównego reżysera, który, jak każdy główny reżyser w teatrze normalnym musi mieć wpływ na ogólny wyraz artystyczny teatru TV.

Z powyższego nie wynika, że teatr TV jest zły. Powiedziałem przecież, że jestem jego entuzjastą, a jeżeli wytykam mu pewne błędy, to tylko po to, aby był jeszcze lepszy. Aby się usamoizolował i mniej naśladował teatr normalny, który ma nieco inne zadanie do spełnienia, bo z innych wywodzi się tradycje i inne w nim rządzi prawa.

Wracając jeszcze do repertuaru. Nie jest on najlepiej wyważony, o czym mówiłem już wyżej, ale ma jedną zaletę, której nie sposób nie zauważyć, zwłaszcza, jeżeli się chodzi o spektakle do teatru normalnego. Otóż teatr TV gra stosunkowo dużo sztuk o ludziach i dla ludzi, gdy teatry normalne grają ich coraz mniej. Teatry normalne wolą grać pojęcia o ludziach, lubują się w przenośniach i alegoriach. Tęgo śmiertelnego grzechu teatr TV jeszcze nie popełnia, chociaż nie można też powiedzieć, że nie eksperymentuje. K. Ł.

PROSZĘ
O
PRAWO
DO OBRONY

Zwracam się do Redakcji „Liter” z niecodzienną — z niecodzienną bowiem sytuacją wynikającą — prośbą. Otóż zdarzyło się, że w 3 numerze „Pomorza” obok mojej recenzji z toruńskiego spektaklu „Myszy i ludzie” J. Steinbecka w adaptacji i reżyserii J. Krasowskiego, ukazała się kontrrecenzja podpisana przez p. Erazma Belwora. Po jej przeczytaniu (dopiero w druku, gdyż wcześniej mi jej nie udostępnił) i stwierdzeniu, iż: a) jej tezy nie znajdują potwierdzenia w dokładnej analizie spektaklu, b) prezentuje metody, które wahałabym się nazwać subtelnościami — uznałam za stosowne ponownie zabrać głos w tej sprawie dokładniej precyzując swoje stanowisko oraz zbijając racje swego oponenta. Mimo iż moja polemika opierała się li tylko na argumentacji ad rem a nie ad personam oraz mimo że od lat 10 — czyli od początków istnienia tego pisma — współpracuję z „Pomorzem”, ostatecznie w charakterze stałego recenzenta teatralnego — Redakcja „Pomorza” odmówiła mi druku mojego artykułu.

W tej sytuacji zmuszona jestem zwrócić się z prośbą do Redakcji „Liter” o zamieszczenie tych kilku słów sygnalizujących i w głównych zarysach referujących powstały spór, ponieważ istota sprawy tkwi nie tyle — jak mi się wydaje — w rozbieżnym odczycie sensu sztuki, ile w zastosowaniu specyficznej argumentacji oraz równie specyficznych metod walki, które dalekie są od tego, co nazywamy dobrymi obyczajami i które — używając — trudno mi zaaprobować.

Przechodząc do meritum: moja główna teza brzmiała: toruńska inscenizacja „Myszy i ludzi” prezentuje pewne problemy natury egzystencjalnej w kształcie, który jest obcy współczesnemu Polakowi tzw. średniego pokolenia, a to z racji nasycenia specyficznym sentymentalizmem. Znajduje to wyraz w konstrukcji losów głównych bohaterów niedo-

statecznie zsynchronizowanej z motywacją ich scenicznego działania. W rezultacie trudno nam odpowiedzieć na pytanie, dlaczego los tych bohaterów jest aż tak okrutny.

Teza mojego oponenta brzmiała natomiast: „Myszy i ludzie” zawierają krytykę stosunków społecznych, ich sens i wartość polega na wymowie społeczno-politycznej, której „nie neguje nawet oficjalna krytyka amerykańska”.

Sprzecznosc w odczytaniu sztuki — jak widzimy — dość zasadnicza. „Prześlepiając” tak ważne treści powinienam się zająć jakąś mniej umysłowo absorbującą pracą niż pisanie recenzji. Przyjrzyjmy się zatem bliżej argumentacji p. Belwora. Idzie ona trzema torami: 1) kwestionowanie mojej metody krytycznej (trudno mi ten punkt tutaj omawiać; 2) wysunięcie własnej koncepcji interpretacyjnej; 3) odebranie wartości moim sądom i ocenom krytycznym poprzez argumentację ad personam, (mam tu na myśli wyrażenie mi od poetek uganiających się za oryginalnością); ten punkt również pomijam. Natomiast słów kilka o punkcie 2.

Otóż teza p. Belwora byłaby interesująca, gdyby nie to, iż przy jej dowodzeniu popełnia kilka kardynalnych błędów, jak np.: a) utożsamia dwa odrębne dzieła artystyczne: powieść i spektakl teatralny, oparty na adaptacji nawet nie autorskiej; b) myli metody krytyczne; posługuje się przy analizie inscenizacji metodą historyczno-literacką (tutaj cytuję z prof. R. W. B. Lewisa — nawet nie o „Myszach i ludziach”) — oraz szermowanie wypowiedzią Steinbecka z o 2 lata późniejszych „Gron gniewu” przy ustalaniu... ideologii toruńskiego spektaklu „Myszy i ludzi”; c) wpisuje w sztukę to, „co mu w duszy gra”, tzn. własne poglądy, które nie znajdują potwierdzenia przy analizie tekstu (np. teza o „idealizmie” Lenniego, o „podjęciu walki” przez George’a i Slima, interpretacja epilogu sztuki itp.). Poza jednak wymienionymi potknięciami natury metodologicznej dwie istnieją jeszcze racje, dla których trudno uznać koncepcję interpretacyjną p. Belwora. Po pierwsze tłumaczenie sztuki jej funkcją krytyczną nie wyjaśnia w sposób chociażby dostateczny bieg akcji, jej kolejnych zaawężeń, nie tłumaczy działania głównych bohaterów, słowem nie jest kluczem zdolnym otworzyć tę sztukę. Po drugie można łatwo sprawdzić, że inscenizacja „Myszy i ludzi” nie respektuje zasa-



Fot. Z. Kosycarz

dy społecznej motywacji losu ludzkiego — jak to jest z reguły i konieczności w realistycznych sztukach o tendencjach krytycznych. Proszę się zabrać i spróbować „przetransportować” bohaterów i tok akcji w inne środowisko, np. na książkę dwór — a zobaczymy, że postawienie i rozwiązanie głównych dla „Myszy i ludzi” problemów (samotności, przyjaźni, funkcji marzenia w ludzkim życiu) oraz

motywacja psychologiczna postaci — pozostaną niezmiennione.

Na tym wypada mi zakończyć swoją filipikę, gdyż przedłużanie jej mogłoby czytelnika, nie znajomego toruńskiej inscenizacji, po prostu zmęczyć. Kończąc raz jeszcze dziękuję Redakcji „Liter” za uprzejme użyczenie mi miejsca na swoich łamach.

M. KALOTA-SZYMAŃSKA



POEZJA

Julian Tuwim: *Wiersze wybrane* (Ossolineum 1964, s. LXVIII + 312, cena 25). Piękne wydanie w ramach Biblioteki Narodowej, w opracowaniu Michała Głowińskiego. W obszernym wstępie Głowiński omawia biografię Tuwima, jego działalność w kręgu „Skamandra”, dojrzały okres twórczości i wreszcie zasady wyboru tekstów i same teksty. W tomie zgromadzone wiersze Tuwima najbardziej reprezentatywne, najlepsze i najciekawsze. Wydawnictwo bardzo cenne, radzimy szybko nabyć.

Wojciech Kawiński: *Odległości postusze* (PIW 1964, s. 62, cena 10). Tomik wierszy młodego poety współczesnego, pochodzącego z Rzeszowszczyzny.

Nikos Chadżinikolau: *Otwarcie światła* (Wyd. Poznańskie 1964, s. 86, cena 10). Wiersze (debiut książkowy) młodego poety, Greka z pochodzenia, który ukończył studia w Polsce i tutaj osiadł na stałe. Publikował już m.in. w dwutygodniku „Kaszëbë” i w „Literach”. Wiersze liryczne, w których autor często odwołuje się do swojej ojczyzny.

ESEJE

Wiktor Szkirowski: *O prozie. Rozważania i analizy* (PIW 1964, t. I s. 352, t. II s. 512, cena I/II 50). Zbiór znakomitych esejów w tłumaczeniu Seweryna Pollaka, „stanowiących wynik doświadczeń pisarza, który odegrał ogromną rolę w literaturoznawstwie”. Polecamy krytykom, pisarzom i wszystkim zainteresowanym esejystyką literacką.

Dziedzictwo literackie powstania styczniowego (PIW 1964, s. 684, cena 85). Jest to praca zbiorowa Katedry Historii Literatury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego pod redakcją J. Z. Jakubowskiego, J. Kulczyckiej-Saloni i S. Frybesa. Na tom składa się 20 szkiców wybitnych filologów polskich, m.in. Juliana Krzyżanowskiego („Legenda powstania styczniowego”), Zofii Stefanowskiej („Norwida spór o powstanie”), Zdzisława Libery („Powstanie styczniowe w twórczości Marii Dąbrowskiej”), Ireny Koberdowej („Powstanie styczniowe w opinii społeczeństw zachodnioeuropejskich”) i Józefa Magnuszewskiego („Powstanie styczniowe a literatura zachodniopolska”). Lektura fascynująca, chociaż — jak zwykle — prawie całkowicie wyłączone z tematu ziemie pomorskie.

HISTORIA

Seweryna Szmągiewska: *Dymy nad Birkenau* (Czytelnik 1964, s. 500, cena 25). Już ósme wydanie słynnej opowieści o gigantycznej maszynie śmierci, jaką był Oświęcim. Kolejne wydanie w formie kieszonkowej (z serii „głowy wawelskie”) z pewnością znajdzie się w wielu bibliotekach prywatnych. Książka, która przypomina to, o czym zapomnieć nie wolno.

Włodzimierz Wołoszyn: *Na warszawskim kierunku operacyjnym* (MON 1964, s. 348 + mapy i szkice, cena 55). Dzieło z serii „Wojna wyzwolenia narodu polskiego”, przygotowywanej przez Wojskowy Instytut Historyczny. Tom zawiera szczegółowe omówienie i fachową analizę działań i Frontu Białoruskiego i 1 Armii Wojska Polskiego na kierunku warszawskim w dniach od 18. VII do 23. IX 1944 r. Liczne ilustracje, mapki i szkice ułatwiają lekturę tej znakomitej lecz trudnej pracy.

Kazimierz Sobczak: *Wyzwolenie Warszawy. Styczeń 1945 r.* (MON 1964, s. 340, cena 55). Studium naukowe z tej samej serii (tematycznie kontynuacja pierwszej pracy), zakończone opisem wyzwolenia Warszawy. Doskonałe dzieło dla interesujących się problemami II wojny światowej.

POLITYKA

Palmiro Togliatti: *Problemy międzynarodowego ruchu robotniczego* (KIW 1964, s. 532, cena 30). Wybór artykułów i przemówień długoletniego przywódcy Włoskiej Partii Komunistycznej i jednego z najwybitniejszych teoretyków współczesnego ruchu robotniczego. W tomie opublikowano prace Togliattiego (zmarłego w 1964 r.) do 1964 r. Znajdujemy w nim m.in. przemówienia: „O XXII Zjeździe KPZR”, „Komuniści, katolicy i przyszłość człowieka” oraz inne. Książka warta przestudiowania. Polecamy szczególnie działaczom młodzieżowym i politycznym.

Jacques Duclos: *Przyszłość demokracji* (KIW 1964, s. 304, cena 12). Ciekawe studium na temat różnych możliwych typów rodzajów demokracji, jej treści społecznej i politycznej oraz jej przyszłości. Autor wysnuwając wnioski ogólne, omawia m.in. demokratyczne formy rządów we Francji (np. Ruch Oporu), ich zanik i rozważa możliwości przywrócenia we Francji demokracji przez usunięcie przeszkód, które ograniczały władzę ludu. W konkluzji autor stwierdza, że przyszłość demokracji jest związana w jego kraju ściśle z przyszłością samej Francji.

„ISKIER

PRZEWODNIK TEATRALNY“

Po „Przewodnikach operowych” Karola Strömengera i Józefa Kańskiego doczekaliśmy się „Przewodnika teatralnego” w opracowaniu Stanisława Marczaka-Oborskiego*, przy współudziale Natalii Bojarskiej oraz Jadwigi Cierniak i Barbary Lasockiej. Wydały go bardzo ładnie „Iskry”. Świetna obwoluta, dobry papier, wyraziste zdjęcia, mały format. „Przewodnik” można wsadzić do kieszeni, iść na przedstawienie i w przerwach, przy jego pomocy, wyjaśniać sobie kwestie wątpliwe.

Autorzy podzielili go na dwie zasadnicze części. W I umieścili tylko autorów zagranicznych od Aischylosa do Dürrenmatta, w II tylko polskich — od Mikołaja z Wil-

kowiecka do Tadeusza Różewicza. Oczywiście nie uwzględnia on tych wszystkich nazwisk i tytułów, które liczą się w teatrze. Nie może też zastąpić programów teatralnych, które zawsze powinny być integralną częścią przedstawienia. Marczak-Oborski słusznie pisze we wstępie: „Przewodnika teatralnego” nie należy traktować jako podręcznika dziejów dramaturgii. Nicoli napisał dwa opasłe tomiska, próbując zamknąć w nich dzieje dramaturgii od Aischylosa do Anouilha. Próba udała się tylko połowicznie. Dzieje dramatu, a więc dzieje teatru, zwierciadła epok, to temat rzeka”.

Można je (te dzieje) opisywać wyrywkowo, można próbować syntez (też wyrywkowych), ale wywijać się na płatkę z całosci jest ponad siły i możliwości jednego człowieka czy chociaż czterech osobowego zespołu. Toteż wytykanie Marczakowi-Oborskiemu, że nie uwzględnił w dziele zagranicznych np. Fernando de Rojasa, a w dziele polskich Stanisława Grochowiaka, że

Broszkiewicz i Mrozek (najpłodniejsi nasi dramaturdzy i najczęściej prócz Kruczkowskiego grywani) legitymują się w „Przewodniku” tylko jedną sztuką, nie ma w tej sytuacji większego sensu. Po wiem więcej, grymaszenie w tej sytuacji, „czepianie” się tych i im podobnych szczegółów byłoby nietaktem. Ostatecznie nazwisk i tytułów najważniejszych nie pominęto.

Ten mocno skrócony (665 stron) zarys dziejów dramatu jest nam bardzo potrzebny. Jest to pierwsze w Polsce kompendium dramaturgii polskiej i światowej. I za to autorowi głównemu i współopracownikom chwała. Polska teatralniarstwo rośnie z miesiąca na miesiąc, ta pozycja zajmie na niej jedno z uprzywilejowanych miejsc.

LAST

*) Stanisław Marczak-Oborski: „Iskier przewodnik teatralny”. Warszawa 1964, s. 678, cena 55 zł.

W SŁUŻBIE UMIŁOWANEGO JĘZYKA

Krzysztof Celestyn Mrongowiusz urodził się w Olsztynku na Mazurach, ale swoją owocną działalność naukową i patriotyczną rozwijał w Gdańsku. W 200 rocznicę jego urodzin, Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego wydał — w ramach serii wydawniczej „Rozprawy i materiały” — pracę Wiesława Bienkowskiego pt. „Krzysztof Celestyn Mrongowiusz (1764—1855) w służbie umiłowanego języka”. Jest to praca doktorska napisana pod kierunkiem prof. dra Jana Hulewicz.

Autor sumiennie przeanalizował wszystkie dostępne źródła i opracowania dotyczące działalności Mrongowiusza i w rezultacie stworzył obszerny obraz jego życia, wprowadzając doń nowe fakty biograficzne i próbując rozszyfrować niektóre kwestie, które w dotychczasowych pracach były potraktowane marginesowo. W rozdziale I („Losy życia”) na tle epoki autor rysuje dzieje życia i pracy gdańskiego lektora języka polskiego, zwracając szczególną uwagę na kształtowanie się w nim poglądów politycznych i społecznych, a zwłaszcza świadomości narodowej polskiej.

PRASA NA MAZURACH I WARMII

Tadeusz Cieślak już od dawna zajmuje się historią prasy polskiej na Ziemiach Zachodnich i Północnych ogłaszając wyniki swoich dociekań na łamach czasopism (np. „Przegląd Zachodni”) i w wydawnictwach zbiorowych (np. „Szkice z dziejów Pomorza”). Obecnie otrzymaliśmy obszerną monografię pt. „Prasa polska na Mazurach i Warmii 1718—1939”, która ukazała się drukiem w serii „Rozpraw i materiałów” aktywnego Ośrodka Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego w Olsztynie.

Tadeusz Cieślak zamknął w swej pracy rezultaty kilkuletnich badań prasy polskiej na Mazurach i Warmii, w tym również prasy gadzinowej, przyjmując za kryterium kwalifikacji, pisma wydawane

Rozdział II („Poglądy społeczne”) autor poświęca całkowicie zagadnieniu tytułowemu. Zwraca tutaj uwagę na trudności w ocenie poglądów społecznych Mrongowiusza, wynikające przede wszystkim z braku dostatecznej bazy źródłowej. Bienkowski skłonny jest uznać fakt zainteresowań ludoznawczych gdańskiego pastora za odbicie jego poglądów społecznych, szczególnie w odniesieniu do sprawy chłopskiej. Rozdział III („Badania ludoznawcze”) interesuje nas szczególnie, gdyż ten problem został przez Bienkowskiego po raz pierwszy szczegółowo opracowany. Mrongowiusz interesował się bowiem nie tylko Kaszubami rdzennymi, lecz także Słowianami a zwłaszcza Kabatkami, odbył do nich podróże i nawiązał bliskie kontakty z tamtejszymi pastorami. W tym rozdziale autor omawia także kontakty Mrongowiusza z uczonymi polskimi, rosyjskimi i niemieckimi. Ostatni rozdział („W służbie umiłowanego języka”) poświęcił autor działalności Mrongowiusza w obronie języka polskiego, jego działalności dydaktycznej, edytorskiej i społeczno-politycznej.

Bardzo cenna jest zamieszczona w drugiej części pracy „Bibliografia dzieł K. C. Mrongowiusza za lata 1791—1870” oraz wykaz chronologiczny jego dzieł.

Książkę Bienkowskiego należy ocenić bardzo wysoko z uwagi na walory naukowe i poznawcze. Krytyczne omówienie nie źródeł i opracowań pozwo-



liło autorowi w sposób nowy spojrzeć na działalność Mrongowiusza, podjąć próbę roszczyrowania jego postawy obywatelskiej w trudnych latach pruskiego zaboru, a przede wszystkim przedstawić jego poglądy społeczne. Warto, aby nasze Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie rozpowszechniło tę pracę wśród swoich członków.

(T. BOL.)

*) Wiesław Bienkowski: Krzysztof Celestyn Mrongowiusz 1764—1855 w służbie umiłowanego języka. Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pojezierze”, Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego, Olsztyn 1964, s. 252.

w języku polskim, bez względu na cel ich wydawania. Sięgnął również do czasopism wydawanych w kraju, ale przeznaczonych dla Mazurów i Warmiaków. Podstawę źródłową do opracowania monografii stanowiły przede wszystkim roczniki (niestety, zdekompletowane) czasopism mazursko-warmińskich i oczywiście opracowania, wymienione w przypisach.

W ośmiu rozdziałach Cieślak przedstawił rozwój prasy polskiej od „Począty Królewickiej” do „Gazety Olsztyńskiej”, która (prasa) bez przerwy walczyła z trudnościami natury politycznej i materialnej. Ofiarnością redaktorów pism mazursko-warmińskich, walka z pruską administracją i całym aparatem przemocy o zachowanie polskości stała się dzisiaj prawie legendą. Ale to nie była legenda, to była najbardziej prozaiczna rzeczywistość, którą trzeba było przeżywać drogą wyrzeczeń i cierpień, a potem — w latach hitlerowskich — trzeba było opłacić życiem.

Praca Cieślaka jest opaco-

waniem naukowym, opatrzonym całym aparatem badawczym, a mimo to niefachowiec czyta ją z dużym zainteresowaniem, wszak stanowi ona pouczającą księgę postaw i czynów różnych ludzi — trwających w swych postanowieniach i zapamiętaniach patriotycznych, i tych, którzy się załamywali pod naciskiem administracji pruskiej, a nawet zdradzali swe ideały. Próba obiektywnego spojrzenia na trudne problemy mazursko-warmińskie poprzez prasę tego regionu i ludzi wokół prasy skupionych, udała się Cieślakowi pomyślnie. Zyczyć tylko wypada, aby nasza gdańska - pomorska prasa doczekała się również dobrej monografii.

(B. POM.)

*) Tadeusz Cieślak: Prasa polska na Mazurach i Warmii 1718—1939. Stowarzyszenie Społeczno-Kulturalne „Pojezierze”, Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego, Olsztyn 1964, s. 186. Dod. Calendarium czasopism polskich na Mazurach i Warmii.

PRZYMIERZE

Z ARCHEOLOGIA

Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza wydała tę książkę bardzo ładnie, w pięknej oprawie i estetycznej obwoluty. Tekst urozmaico-liczonymi rysunkami i mapkami, a na końcu umieszczono tablice z ilustracjami.

Książka Krzysztofa Dąbrowskiego „Przymierze z archeologią” należy do gatunku podręczników — informatorów, których celem jest dostarczenie przeciętnemu czytelnikowi sumy wiedzy, w naszym przypadku wiedzy archeologicznej i zachęcenie go do poszukiwań dalszych prac

z tej dziedziny, może bardziej erudycyjnych lub wręcz naukowych. Praca Dąbrowskiego ma jeszcze tę zaletę, że może ona zachęcić czytelnika do współpracy z archeologami, a jeśli ten cel osiągnie, informuje zaraz, gdzie, z kim i na jakich warunkach tę współpracę można nawiązać. Innymi słowy jest to książka budząca zainteresowania archeologią.

Krzysztof Dąbrowski w pierwszym rozdziale omawia naukę zwaną archeologią, wyjaśnia jej cele i sposoby pomocy udzielanej archeologom przez niezawodników. W następnych rozdziałach omawia on najdawniejsze dzieje obszaru Polski, Prastawian i początki państwa polskiego. Ostatni rozdział zawiera informacje o studiach archeologicznych, instytucjach i organizacjach archeologicznych, ustawodawstwie polskim o ochronie zabytków archeologicznych i wreszcie — wykaz muzeów i placówek zajmujących się

archeologią, ułożony województwami.

Popularny charakter pracy Dąbrowskiego z pewnością zachęci czytelników do jej przeczytania. Nie jest to jednak książka typu znanych reportaży Pawła Jasienicy („Świt słowiańskiego jutra”, „Archeologia na wrywki”, „Słowiański rodowód”), więc niech czytelnik nie spodziewa się od niej za dużo. Jest to bowiem praca kompilacyjna, relacjonująca w sposób może trochę monotonny to, co odkryli i opisali już wcześniej naukowcy. Dla młodzieży i dla nauczycieli zamieszkanych na wsi praca Dąbrowskiego może się okazać niezastąpiona. Dlatego im szczególnie ją polecam.

(T. B.)

*) Krzysztof Dąbrowski: *Przymierze z archeologią*, LSW, Warszawa 1964, s. 199, ilustr. + 32 dwustr. tablice i.ustr. Cena zł. 40.

MADONNA— POMORSKI ZNAK PAPIERNICZY



Znak wodny z motywem Madonny otoczonym wieniec kwiatowy o charakterze ludowym. Wym. 13 X 8 cm. Papiernia Lipusz, p. Kościerzyna. Data dokumentu: 1749 r. Przerys.: Fr. Pabich

W znanym kwartalniku „Polska Sztuka Ludowa” ukazał się cenny artykuł wstępny Franciszka Pabicha pt. „Madonna w filigranach pomorskich” obejmujący 5 stron tekstu, 177 przerysów filigranów madonn (na 11 stronach), spis filigranów z oznaczeniem papierni, daty tekstu rękopisu, miejsca przechowania rękopisu oraz spis papierni. Okładkę kwartalnika zdobi całostronowa fotografia filigranu pomorskiego.

Autor zajmujący się od przeszło 10 lat historią papierni i filigranistyki Pomorza stwierdził, że pierwsza polska papiernia istniała już w 1420 r. w Gdańsku. Dotychczas za najstarszą w Polsce papiernię uchodziła papiernia w Pradniku, k. Krakowa założona w 1496 r.

Znaki wodne czyli filigrany, notujemy na Pomorzu już w XV wieku czyli wcześniej aniżeli w Anglii i Niemczech. Służyły one początkowo do oznaczania gatunków i formatów papieru czerpanego, a później stały się znakami papierni. Formy czerpalne ze znakami tworzyli rzemieślnicy pochodzący z ludu. Stąd twórczość ich zbliżona jest do sztuki ludowej i filigrany pomorskie zwłaszcza na Kaszubach powtarzają często motywy pochodzące z innych dziedzin twórczości ludowej.

Na podstawie wieloletnich poszukiwań archiwalnych, autor zdołał stwierdzić, że na Kaszubach, Pomorzu Gdańskim i Zachodnim założyli i właścicielami papierni oprócz Niemców byli Polacy (m.in. gen. Józef Wybicki w Bendominie p. Kościerzyna). Było także wielu papierników polskich (nazwiska wymieniono), a przede wszystkim czeladnicy rekrutowali się w dużej mierze z żywiołu polskie-

go (nazwiska podano). Ci właśnie czeladnicy pochodzenia chłopskiego, robotniczego i rękodzielniczego wyrabiali formy papiernicze z wplecionymi w nie znakami.

Filigrany pomorskie mają niekiedy wysoką wartość plastyczną, stąd postuluje autor zainteresowanie się nimi historyków sztuki, etnografów, miłośników sztuki ludowej.

Obok motywów ludowych i herbów miast wyróżnia się i dominuje na Pomorzu w znakach wodnych temat Madonny. Występuje on w licznych odmianach, przy czym obok rozwiązań bardzo pięknych, czystych i precyzyjnych — spotykają się też kompozycje nader prymitywne. Motyw Madonny znany jest dotychczas autorowi z produkcji aż 28 papierni pomorskich, m.in. z Bendomina, Bytowa, Dębicy, Kaszubskiej, Kolibek, Lipusza, Łapina, Słupska, Straszyna, Tuchomia, Żukowa.

Obecnie przygotowuje autor do druku historię wszystkich papierni pomorskich i przysposabia przerysy znaków wodnych do przyszłego atlasu polskich filigranów.

O powyższym miło jest relacjonować podopiecznemu, który swego czasu miał sposobność w prasie periodycznej zwrócić uwagę na prace wytrwałego i wykazującego znajomość przedmiotu grafika chojnickiego (por. L. Malicki: *Kasjer sądowy i „grafik”*, „Kaszëbë” 1960. Nr 23, i tenże — Nowe pomorskie znaki wodne odkrył Franciszek Pabich, „Pomerania” 1961, Nr 11).

LONGIN MALICKI

*) Polska Sztuka Ludowa 1964, nr 2, ss. 59—78.

KOMUNIKATY INSTYTUTU BAŁTYCKIEGO

Ukazał się pierwszy numer „Komunikatów Instytutu Bałtyckiego” (grudzień 1964), wydany techniką powielaną. Mamy nadzieję, że „Komunikaty” będą się ukazywały w regularnych odstępach czasu i w niedalekiej przyszłości drukowane już normalnie w postaci dawnego „Jantara”.

Treść pierwszego numeru dowodzi potrzeby rozpowszechniania problematyki podej-

mowanej przez Instytut Bałtycki, chociażby tylko w ośrodkach uniwersyteckich i innych placówkach naukowych. W obszernym artykule wstępnym, przewodniczący Rady Naukowej IB prof. dr Andrzej Bukowski, omawia przeszłość i obecne zadania instytutu, który rozwijał swą działalność w latach 1925—1939 i 1945—1950, a następnie rozwija ją od 1958 r. Prof. Bukowski syntetycznie omawia m. in. aktualną sytuację finansowo — organizacyjną instytutu oraz jego programową działalność merytoryczną. Poza tym opublikowano trzy skróty referatów Stanisława Potockiego, Donalda Steyera i Marceliego Podlaskiewskiego, które zostały wygłoszone na posiedzeniach naukowych — dyskusyj-

nych w IB. Opublikowano również stenogramy z dyskusji na tych posiedzeniach.

W dziale recenzji i omówień zamieszczono interesujący artykuł Tadeusza Cieślaka pt. „Zachodniomierkie spojrzenia na historię ruchu kaszubskiego”, skierowany na marginesie książki pamiątkowej wydanej w Niemczech zachodnich z okazji 70-lecia Ericha Keysera — historyka niemieckiego urodzonego w Gdańsku i wiele lat pracującego w gdańskim archiwum. Cieślak obala fałszywe tezy dot. ludności kaszubskiej, sformułowane przez jednego z autorów wspomnianej książki pamiątkowej dra Richarda Breyera. Do artykułu Tadeusza Cieślaka jeszcze wrócimy w jednym z kolejnych numerów „Liter”.

(tb)



POWIEŚĆ

Lesław M. Bartelski: *Wieniec* (Czytelnik 1964, s. 244, cena 14). Interesująca powieść (II wydanie) ukazująca przemiany w naszym kraju w pierwszych powojennych latach. Treścią książki jest odbudowa Warszawy.

Zbigniew Nienacki: *Worek Judaszów* (Czytelnik 1964, s. 144, cena 10). Powieść oparta na autentycznych faktach mających miejsce w Polsce w latach 1946/47. Walka aparatu bezpieczeństwa z bandami. Sensacyjna.

Michał Rusinek: *Niebieskie ptaki* (LSW 1964, s. 244, cena 15). Opowieść w dwunastu gawędach o młodości pokolenia autora. Społeczno-obyczajowa.

Patrick Quentin: *Mój syn morderca?* (Iskry 1964, s. 238, cena 20). Powieść sensacyjno-kryminalna amerykańskiego pisarza angielskiego pochodzenia. Czyta się!

OPOWIADANIA

Stanisław Wygodzki: *Opowiadania* (Czytelnik 1964, s. 356, cena 18). Siedem opowiadań znanego autora, w tym „Koncert żywych” i „Ziemia”. Przyjemne w czytaniu, mocno nasycone pierwiastkiem dramatycznym.

Szalom Asz: *Opowiadania* (Czytelnik 1964, s. 160, cena 12). Zbiór opowiadań żydowskiego autora w tłumaczeniu Stanisława Wygodzkiego. Szalom Asz należy do klasyków literatury żydowskiej. Jego opowiadania dotyczą środowisk żydowskich.

Andrzej Szczypiorski: *Polowanie na lwy* (Iskry 1964, s. 200, cena 10). Opowiadania współczesne, interesujące.

Jarosław Iwaszkiewicz: *Heydenreich* (Wyd. Poznańskie 1964, s. 172, cena 10). Dwa opowiadania (oprócz tytułowego jeszcze „Cienie”) wybitnego współczesnego pisarza.

ROZNE

Czerwona lutnia. *Pieśni robotnicze*. Zebrał Eugeniusz Ajnenkiel (Wyd. Łódzkie 1964, s. 246, cena 20). Zbiór wierszy robotniczych, stanowiących wybór z bogatej kolekcji znajdującej się w posiadaniu łódzkiego działacza i pośła na Sejm, W. Ajnenkiela. Wiele wierszy (pieśni) dotąd nie znanych. Polecamy domom kultury, świetlicom, szkołom.

Alina i Czesław Centkiewiczowie: *Kierunek Antarktyda* (Iskry 1964, s. 270, cena 13). Trzecie wydanie tej ciekawej i zawsze chętnie czytanej opowieści o przygodach na Antarktydzie, wydanej tym razem w ramach Biblioteki Powszechnej. Fascynujące przygody, moc cennych wiadomości historyczno-geograficznych.

Tranzylem przez Łódź (Wyd. Łódzkie 1964, s. 372, cena 30). Relacje, wspomnienia i opowiadania ludzi nauki i sztuki, którzy w latach 1945—1948 „tranzylem przejechali przez Łódź”. Piszą m.in. Jan Chałasiński, Adolf Rudnicki, Adam Schaff i Wiktor Woroszyński. Ze wszystkich tych wspomnień przebiega sentyment do miasta „dymiących kominów”.

Fryzjerstwo (Wyd. Przemysłu Lekkiego i Spożywczego 1964, s. 212, ilustr., cena 30). II wydanie serii 2 pracy zbiorowej n.t. fryzjerstwa. Dla mężczyzny, a szczególnie dla pań (o tlenieniu i farbowaniu włosów, o siwieniu i pasowytach, o suszeniu włosów i perukach... Jednym słowem podręcznik niezmiennie praktyczny dla praktycznych pań i... panów.

Zdzisław Keck: *Skorowidz przepisów prawnych ogłoszonych w Dzienniku Ustaw i Monitorze Polskim w latach 1918—1939 i 1944—1963* (Wyd. Prawnicze 1964, s. 648, cena 58). Dla każdego w wieku dojrzałym, wszak każdy dorosły ma, lub może mieć do czynienia z przepisami prawnymi.

Blaise Cendrars: *Raźny gromem* (Czytelnik 1964, s. 554, cena 30). Przełożył i wstępem opatrzył Julian Rogoziński. Opowieść autobiograficzna urodzonego w Szwajcarii poety i prozaika, a przede wszystkim wędrowcy, który zwiedził cały świat i miał się różnych zawodów. Czyta się doskonale.

Janusz Teodor Dybowski: *Hold pruski* (LSW 1964, s. 526, cena 38. Ilustracje Antoniego Uniechowskiego). Powieść historyczna (sekularyzacja zakonu krzyżackiego) napisana żywo i ciekawie. Zainteresuje nie tylko młodzież.

Socjologia zawodów. Praca zbiorowa pod redakcją Adama Sarapaty (Książka i Wiedza 1965, s. 610, cena 50). Autorzy tej pracy omawiają pojęcie i strukturę zawodów, ich miejsce w społeczeństwie, problemy związane z wyborem zawodu i wreszcie dają opisy różnych zawodów. Nas zainteresuje szczególnie szkic Aurelii Polańskiej pt. „Z badań nad zawodem rybaka morskiego w Polsce”.

Stefan Amsterdamski: *Engels* (Wiedza Powszechna 1964, s. 276, cena 15). Tomik z serii *Myślenie i Ludzie*, II Filozofia nowożytna i współczesna pod redakcją prof. dra Bronisława Baczko. Autor w sposób przystępny zapoznaje czytelnika z filozofią Engelsa. W drugiej części pracy znajdujemy bogaty wybór pism Engelsa. Warto tę serię kompletować.

(T. B.)

30 MARCA br. ODBYŁA SIĘ W TEATRZE WIELKIM WE WRZESZCZU PRAPREMIERA SZTUKI JANINY SKOWROŃSKIEJ-FELDMANOWEJ pt. „WESTERPLATTE“. SZUKĘ REŻYSEROWAŁ JERZY GOLIŃSKI, A OPRAWĘ SCENOGRAFICZNĄ PRZYGOTOWAŁ MARIAN KOŁODZIEJ. PONIŻEJ DRUKUJEMY FRAGMENT TEJ SZTUKI.

WESTERPLATTE

AKT IV ODSŁONA 2

NARADA

OSOBY: mjr. Henryk Sucharski, dowódca Westerplatte, kpt. Franciszek Dąbrowski zwany „Kubą” — jego zastępca, kpt. Mieczysław Słaby — lekarz załogi, por. rezerwy Łot, Stefan Grodecki — inż. mechanik, st. ogniomistrz Leonard Piotrowski — zbrojomistrz, chor. Józef Pełka — szef kompanii, sier. Kazimierz Rasiński — radiotelegrafista.

Scena przedstawia fragment koszar z wartownią nr 6. Widać część wnętrza elektrowni z centralką telefoniczną, korytarzyk wiodący do wartowni z widocznym w głębi oknem przy którym stoi obsługa z cekaemem. Okno zasłonięte workami z piaskiem. Z korytarza widać drzwi wiodące do magazynów. Na pierwszym planie wolna przestrzeń części hallu. Stoją tutaj Sucharski, Dąbrowski, Grodecki, Słaby, Piotrowski, Pełka, Rasiński usiadł na pustej skrzynce po nabojach. Zapatrzony przed siebie i smutny. Wszyscy zmęczeni, nie ogoleni, ubrania pomięte, przybrudzone. Sucharski ma wzrok zgorączkowany. Słychać przejmujący krzyk bólu.

SUCHARSKI: Musimy zastanowić się wspólnie nad naszym położeniem, w związku z sytuacją jaka wytworzyła się tak na froncie w ogóle jak i u nas tutaj. Dziś już chyba nikt z nas nie ludzi się nadzieją jakiegś odsieczy. Chyba, że okręty wojenne Anglii, które podobno przepłynęły Skagerrak...

SŁABY: Ja nie wierzę tej wiadomości, którą wczoraj podało nasze radio. Niemcy na pewno zaminowali cieśniny prowadzące na Bałtyk. A jeśli nawet tego nie zrobili, byłoby wbrew wszelkim zasadom pchać okręty na zamknięte morze. Więc z tej strony również nie należy oczekiwać odsieczy.

SUCHARSKI: Sierżancie Rasiński! Proszę nam zreferować jak przedstawia się sytuacja na frontach na podstawie komunikatów naszych i wroga. W tej chwili nasza jedyna łączność ze światem to radio, zasilane z akumulatorów, zresztą i te wyczerpują się już...

RASIŃSKI: (podchodzi apatycznie na środek) Sytuacja na frontach przedstawia się... niepomysłnie. Komunikaty nasze przestały już powtarzać wiadomości o naszych bombardowaniach, o zagrożeniu kawalerii w głąb Prus. Podają natomiast wiadomości o sforsowaniu w kilku miejscach linii Zygryda przez Francuzów.

DĄBROWSKI: No, w to już nie uwierzę! Przecież to wał z żelaza i betonu! Potężna, najbardziej nowoczesna forteca!

RASIŃSKI: Najważniejsze jednak, że radiostacje krakowska i katowicka... zamilkły.

DĄBROWSKI: No, to może być następstwem bombardowań lotniczych. Nieoficjalnie mówiło się przecież o silnym bombardowaniu granic Śląska, więc trudno przypuszczać by walki toczyły się już w tym rejonie!

RASIŃSKI: Niestety... Komunikat Oberkommando der Wehrmacht mówi o koncentrycznych operacjach w rejonie Krakowa... (zaskoczenie). Donosi też o postępach wzdłuż Wisły, uderzeniu na Łódź i Gniezno, walkach o Toruń i otaczaniu naszych wojsk w Borach Tucholskich...

DĄBROWSKI: O psiakość!

SUCHARSKI: Tak wygląda sytuacja na frontach... A jak tutaj? Nasza?... Stan wartowni coraz gorszy. Już bombardowanie zmniejszyło wybitnie ich zdolności obronne. Nieustanny ostrzał artyleryjski robi teraz swoje.

GRODECKI: Najgroźniejsze okazały się moździerze.

DĄBROWSKI: Zagroziły, krótko mówiąc, fundamentom. Pociski lecą stromym torem i wybuchając naruszają fundamenty i ściany. Mieliliśmy tego przykład na szóstce (pokazuje w głąb sceny). Byliśmy świadkami obaj z porucznikiem Grodeckim. Pocisk upadł tuż przed oknem przy którym stał przy cekaemie Łakomic. Wybuch miny wgniół ścianę do wewnątrz i biedny chłopak doznał zgniecenia klatki piersiowej.

Milczenie. Słychać znowu ten sam bolesny jęk.

SUCHARSKI: Jedyńka mocno ucierpiała. Nie mniejszy niepokój budzi los „dwójki”, która rozpada się... Przecież jesteśmy pod zmasowanym ogniem artylerii z Wisłoujścia, z Brzeźna, Jelitkowa, Biskupiej Góry, jednostek morskich, z zatoki no i pancernika. Koszary dostają coraz nowe trafienia i wykruszają się... Już dziś stanowią bardzo problematyczną osłonę dla załogi i naszych rannych...

Milczenie, czasami potakiwania głowami.

SŁABY: Godzien liłości jest los rannych. Przenosimy ich z miejsca na miejsce szukając bezpieczniejszych. Leżą w warunkach strasznych. Na noszach lub siennikach rzuconych wprost na ziemię... Bandaże kończą się... Opatrunki zmieniane gdy sypie się kurz, odpryski wapna czy betonu grożą dodatkowym niebezpieczeństwem. Szczególnie ciężki stan porucznika Pajaka, Łakomca i jeszcze paru. Grozi występująca gangrena. W innych warunkach są do uratowania... (zgnębienie ogólne).

DĄBROWSKI: Nie widziałem Leona kilka godzin. Gdy znowu go ujrzałem... Widok przerażający... Ta twarz zapadnięta z wyszczerzonymi zębami, te usta cienkie i spalone... Szkielet... I — cuchnie.

SŁABY: Gangrena. Niestety... Nie mają minimum warunków sanitarnych. Tylko Szwendowskiemu zawdzięczają trochę zupy czy herbaty. I to nie dla wszystkich starczy. A przecież gorączkują i... cierpią. Łakomic krzyczy bo każdy oddech sprawia mu ból. (Milknie, zagryza wargi). Niepokojące są również wypadki czerwoni, a nie ma czym leczyć... Wprawdzie chorych odizolowaliśmy do schronu nad kanałem, może przyjdzie epidemia...

SUCHARSKI: Załogi też są u kresu sił. Szczególnie te na odkrytych placówkach, pozbawione jakiejkolwiek osłony. Ale i ci na wartowniach... Ciasnota, zaduch, ustawiczne pragnienie... Wodę w niewielkich ilościach dostają przecież dopiero nocą... Ciągłe te same zimne konserwy i twarde suchary... Przeszło sto godzin bez ciepłej strawy a przede wszystkim bez snu! (wszyscy kiwają głowami i wzdychają).

DĄBROWSKI: To może najgorsze...

SUCHARSKI: A odwodów nie ma. Wszyscy są jednakowo wykończeni. Nawet ci, którzy nie są w ciągłej bezpośredniej walce jak jedyńska, dwójka albo grupa Rygielskiego, czy Deika...

GRODECKI: Wyczerpująca jest również służba telefonistów. Linie ciągle się rwą i co noc ci sami ludzie spełniają swój niebezpieczny obowiązek...

SUCHARSKI: W tej ciężkiej sytuacji — można rzec tragiczną bo beznadziejną, gdy zadanie nasze zostało spełnione z olbrzymią nadwyżką, stawiam pod waszą rozagę... i decyzję... sprawę... sprawę... zaprzestania walki! (mówi z trudem, skończywszy czyni jakiś gest, który dowodzi jak tragiczne dla niego jest wysunięcie tego zagadnienia).

Następuje cisza wśród której słychać znowu przeciągły jęk. Jedni zaskoczeni, inni zrezygnowani. Pierwszy reaguje Grodecki. Doskakuje do Sucharskiego. Ręce zaciśnięte w kulaki unosi zgięte w łokciu, wysuwa dolną szczękę, głowę wysuwa do przodu.

GRODECKI: Kapitulacja?! Nigdy!

DĄBROWSKI: Kapitulacja? Dlaczego? Skąd kapitulacja?! Przecież mamy broń, amunicję pod dostatkiem, mamy żywność! Wartownie jeszcze stoją i zdolne są do obrony! Ludzie walczą i chcą walczyć dalej! Dlaczego mamy kapitulować?! To absurd! To... to... zdrada żołnierskiego obowiązku! (Mówi w wielkim wzburzeniu).

SUCHARSKI: Ludzie! Czyż nie widzisz, że są u kresu sił. Że słaniają się na nogach z wyczerpania? Że podtrzymuje ich jedynie jakaś nieokreślona nadzieja oparta na naszych kłamliwych informacjach o sytuacji na frontach, o angielskiej flocie i francuskim lotnictwie? Ale gdy przekonają się, że to... (głos mu się załamuje, opanowuje się, po chwili ciągnie dalej spokojniej). Najważniejsze, iż nałożony nam obowiązek spełniliśmy i nie ma celu poświęcać tych dzielnych chłopców, ten wspaniały materiał ludzki!

GRODECKI: Pan major mówi o spełnieniu zadania i żołnierskiego obowiązku! Jakim sposobem? Naszym zadaniem jest walczyć! Ryglować te siły, które zajęte są zdobywaniem Westerplatte! Odcinać w ten sposób inne odcinki walki! Może Gdynię! Może Hell! Kto nam dał rozkaz kapitulacji?!

SUCHARSKI: Na tym polega tragizm naszego położenia, że nikt żadnego rozkazu już nam dać nie może! Jesteśmy bowiem odcięci od wszelkiej łączności z Dowództwem Wybrzeża! Jesteśmy jak oblężona twierdza! Gorzej! Jak okręt rzucony na rozpetany żywioł oceanu! Tylko, że okręt posiada łączność! Jego rozpaczliwe SOS ktoś złapie i może pospieszy na ratunek! Ale naszego wołania nikt nie usłyszy! Albo usłyszy — i jest bezsilny... Statek płynie dokądś! My — do nikąd! Ale na tym statku znajdują się młodzi, wybierani ludzie! Czy nie szkoda ich poświęcać? Bez zaprzestania walki — nasi ranni skazani są na śmierć!

GRODECKI: Skąd pewność, że kapitulacja ich uratuje? Znam Niemców! Wymordują nas bez skrępowań!

PIOTROWSKI: (wysuwa się) Przepraszam panie poruczniku! Ale ja także Niemców znam. Byłem przecież żołnierzem armii niemieckiej, bo pochodzę z Pomorza i walczyłem pod Verdun. I na to mogę przysiąc, że nigdy nie spotkałem się z tym aby oni mordowali jeńców. Nie mogę powiedzieć. Obchodzili się z nimi po ludzku. A rannych leczyli i pielęgowali jak swoich. Ja uważam, że nikomu nic nie grozi! A pan major ma rację. Szkoda naszych dzielnych chłopców. Przydadzą się Ojczyźnie gdy wojna się skończy. A serce człowiekowi się kraje jak słyszy jęki rannych i widzi jak umierają na naszych oczach...

GRODECKI: Pan zna Niemców dawnych! A ja znam dzisiejszych! Studiowałem przecież na politechnice gdańskiej. Wiem jaka jest ich młodzież a ona stanowi trzon korpusu oficerskiego! Są bezwzględni, okrutni, a nas Polaków, nienawidzą żywcem! Jeżeli nawet żołnierzy oszczędzą i pošlą ich do ciężkich robót, to nas oficerów, podoficerów, i tych którzy zaznaczyli swoją polskość w Gdańsku, wykończą. Ale nie o nas tutaj chodzi. I nie to jest ważne, tylko to, że nasz obowiązek to — bić się!

Wszyscy są poruszeni. Słychać pomruki, widać wahania. Wy-suwa się Rasiński. Mówi na jakiejś tragicznej nucie. Jest zrezygnowany.

RASIŃSKI: Panie poruczniku! Pan wie co mnie spotkało od Niemców. Że mnie zatrzymali, że bili... Mnie nic nie ocali gdy dostanę się w ich ręce. A mimo to powiadam: jeśli jest nadzieja, że oni będą przestrzegali konwencji genewskiej, chociaż w stosunku do żołnierzy, ratujmy ich dla Ojczyzny! Dalszą walką niczego już nie wskóramy! Przecież oni idą wszędzie naprzód! Te siły co my tu wiążemy, to mucha wobec ich potęgi!

SUCHARSKI: My prawdopodobnie jak i całe Wybrzeże już w tej chwili jesteśmy odcięci od reszty kraju. I nie łudźmy się co do losu Westerplatte! Oni coraz większe siły angażują do walki z nami. Zmasują więcej broni i jednostek morskich i wysadzą desant! Co pomoże wtedy Rygielski, Deik czy Baran z garstką ludzi i paru kaemami? Walka beznadziejna! Więc ratujmy chociaż ludzi!

DĄBROWSKI: Wojna to nie miłosierdzie i humanitaryzm! Wojna nie cacka się z człowiekiem tylko go pożera! Obowiązku żołnierskiego nie da się wyliczyć na godziny! Naszym obowiązkiem jest bić się, nie mędrkować! Nie wolno zastanawiać się czy w danej sytuacji warto poświęcać życie ludzkie. Wódz, który tak postępuje, nigdy wojny nie wygra!

GRODECKI: (podbiega znowu do Sucharskiego, dotyka prawie palcem jego piersi) Panie majorze! Na piersi pana krzyż Virtuti Militari! Najwyższa nagroda za męstwo! To obowiązuje! Aż po żołnierską śmierć! A pan chce kapitulować?!

DĄBROWSKI: Nigdy!! (wzburzony wybiega na prawo. Sucharski robi krok za nim).

SUCHARSKI: Kuba! Zrozum!...

Grodecki wybiega za Dąbrowskim. Sucharski patrzy smutno za nimi. Wśród ogólnego milczenia i konsternacji padają ciche słowa. Piotrowski: Tak, panie majorze... My wiemy co wojna, oni wiedzą tylko — co walka...

SUCHARSKI: Nie znają jeszcze w pełni wartości ani ceny życia... Tęsknią do bohaterstwa... Są młodzi...

Scena ciemnieje.

ODSŁONA 3

Słychać przytłumione odgłosy walki, które cichną. Kurtyna odsłania się. Dekoracja ta sama. W głębi przed oknem z obsługą cekaemu rzucony siennik. Siedzi na nim Sucharski. Głowa wsparta na dłoni. Przez szczeliny w oknie wpada raz po raz ostre światło reflektorów omiatających półwysep. Centralkę telefoniczną oświetla mała świeczka.

Dąbrowski budzi śpiącego telefonistę, siada na krześle, opiera głowę na dłoniach, zamyśla się. Cisza. Sucharski podnosi się z siennika. Podchodzi na próżno sceny, zaglądając po drodze do centralki. Opiera się o ścianę. Żołnierz przy oknie usuwa trochę worki i silniejsza smuga światła omiata co pewien czas postać majora. Rozlega się z głośnika jego głos. On sam stoi prawie bez ruchu, tylko głową i wyrazem twarzy podkreśla pewne słowa. Głos Sucharskiego: Sam... tak bardzo sam... z moją wielką i straszną odpowiedzialnością... Tak. Dobrze im powiedziałem. To jest okręt. A ja na nim — Pierwszy po Bogu... Kapitan Załogi Śmierci... Szczęśliwi, Kuba i ten drugi... Wiedzą, że mają się bić, bo od tego są żołnierzami. I biją się... Jaki byłem szczęśliwy do tego nalotu... Wypełniałem rozkaz, nie było wahań... (przeciągły jęk). Jak ten Łakomiec jęczy... Byłem szczęśliwy... Aż do zniszczenia kodów... Gdybym był wiedział... że to wtedy skończy się... Ale przecież nie można było ryzykować... I przyszło na mnie... co?

Strach... Strach... przed czym?... Przed odpowiedzialnością... Ale przecież zawsze odpowiadałem za coś... Oślepia to światło... A cóż dopiero ich... tam... na placówkach... Rygielskiego... Deika... Barana... Tak... To jest lęk... Lęk... przed zadaniem, które stanęło tak nagle przede mną... Nigdy nie miałem tak bezwzględnego prawa rozporządzania cudzym życiem... ich życiem... Życiem?... Raczej — śmiercią... Nie ma rozkazów... Tylko ja... Ja... Pierwszy po Bogu!... Ach zginać! Wyzbyć się tego strasznego obowiązku! Zginać! Nie stawać przed wyborem! Nie istnieć!... Ale co wtedy?... Czy szukając śmierci nie czynię wyboru? To przecież ucieczka! Tchórzostwo! Och! Nie! Nie! Tylko nie to!... Moją śmiercią także przesądzam los ich wszystkich! Bo Kuba i Stefan będą wtedy do ostatka... Więc co? Nakazać kapitulację?... A jeśli nie posłuchają?... Jeśli oni mają może rację — i powinniśmy zginać? Może to na coś potrzebne?... „Virtuti Militari — to zobowiązuje”... Ale czy wolno dla gestu poświęcać tylu wspaniałych ludzi?... Młodych? (z bolesną ironią). „Wódz, który tak postępuje nigdy wojny nie wygrał!”. Ale wódz naczelny otrzymuje mandat od Narodu na szafowanie życiem obywateli! Za dowódcą każdej armii stoi rozkaz wodza naczelnego! Tylko za mną nie stoi nic!... Ani mandat... ani rozkaz... Przypadek?... Nie. Los!... Pierwszy po Bogu na okręcie, który płynie bez żagli, bez kotwicy i... bez kresu... (scena ciemnieje).

7 TŁUSTYCH LAT „KALAMBURU”

MIECZYSLAW ORSKI

„Chmury”

Kiedy padały ze sceny kolejne słowa tej komedii napisanej ponad dwa tysiące lat temu przez znakomitego greckiego antagonistę sokratejskich metod dydaktycznych, Arystofanesa, przestały mnie nurtować wątpliwości, którymi naszpikowany przyszedłem na spektakl: po co? W jakim celu wskrzeszać to sztuczdyło, o którego wystawienie nie pokusił się — przynajmniej w Polsce — od dawna żaden teatr zawodowy? Po prostu — zapomniałem o nich w trakcie przedstawienia. Perypetie Strepsjadesa, pragnącego nabyć w Dumalni Sokratesa wiedzę w celach zgoda nieszlachetnych, opowiedziane jędrnym i dosadnym językiem sandauerowskiego przekładu stały się dla reżysera spektaklu, Włodzimierza Hermana, istną kopalnią pomysłów, inwencji, analogii. A analogie podsuwał sam tekst „Chmur”, którego ostrze krytyczne wycelowane było ze swadą między innymi i w środowisko mogące interesować inscenizatora oraz reżysera komedii, dla zupełnie pierwszorzędných racji. Bądź co bądź, „Kalambur” to studencki teatr.

„Chmury” były więc „Chmurami” studenckimi z kretesem i miały nimi być zapewne w zamierzeniu Hermana, a w każdym razie na taki swój sposób próbował on udowodnić przystosowalność Arystofanesa do współczesnego teatru. Jestem przekonany, że udało mu się to znakomicie. Bawiłem się świetnie, tym lepiej, że w trakcie widowiska nie opuszczała mnie świadomość, iż razem ze mną bawią się świetnie aktorzy, zwłaszcza zaś pięć pięknych Chmur, które z gracją i wdziękiem spełniały swe role bogiń, a w oczach których czaiła się niekiedy, wcale nie maskowana, studencka łobuzerskość.

22 premiery

„Chmury” — to już dwudziesta druga premiera. Dwadzieścia premier. Dwadzieścia premier amatorskiego, studenckiego teatru, który błakał się dotychczas po różnych scenach i dopiero w grudniu ubiegłego roku otrzymał własną salę. I siedem lat. Pierwsza premiera studenckiego teatru „Kalambur” odbyła się we Wrocławiu w kwietniu 1958 r. („Konfiskata gwiazd”). Głównym twórcą teatru był Bogusław Litwiniec, potem dołączył do niego Włodzimierz Herman. Obaj sprawują funkcje kierowników „Kalamburu” po dziś dzień. I nagrody. Kiedy pytam o nagrody, twarze moich rozmówców z „Kalamburu” rozjaśniają się w uśmiechu — jakby zażenowania: tyle ich było. Bo to i kilkakrotnie zajmowane pierwsze miejsca w ogólnopolskich festiwalach teatrów poezji, i nagro-

da ministra kultury i sztuki w 1962 r., i główna nagroda w festiwalu teatrów studenckich w 1963 r., i Złota Odznaka ZSP, że wymienię tylko te ważniejsze. A nie można zapomnieć o sukcesach zagranicznych. O występach gościnnych w Austrii, Szwecji i Czechosłowacji. O udziale w festiwalu teatrów studenckich w NRF, o udziale we francuskim festiwalu w Grenoble w 1960 r. Mało który teatr amatorski może się poszczycić podobną biografią.

W dotychczasowej praktyce „Kalamburu” zarysowały się wyraźnie trzy kierunki zainteresowań; równoległe do tych zainteresowań teatr został wewnętrznie niejako podzielony na trzy sceny. Istnieje zatem scena debiutów, skazana z góry na mniejsze osiągnięcia, uwzględniająca w swej działalności próby młodych, nawet studentów. Większym powodzeniem wśród publiczności cieszy się scena kabaretowa, mająca na swym koncie parę udanych premier. Kiedy pytam Hermana o najwybitniejsze — jego zdaniem — osiągnięcia teatru, zauważam, że wylicza premiery z zakresu trzeciej sceny, sceny poezji: „Dwunastu” Błoka, „Cieniem” Wirpszy, „Słowo o Jakubie Szeli” Jasieńskiego, „Kurt” Grześczaka. Zresztą — Herman czyni to nie bez kozery. Widowiska poetyckie to jego główna pasja. Litwińca ciągnie raczej w stronę teatru dramatycznego, czy kabaretu.

Mówiąc o dorobku „Kalamburu”, nie można zapomnieć, że wypuścił on już w świat sporą grupkę utalentowanych młodych ludzi. Anna German, Pola Raksa, Edward Lubaszenko — to nazwiska znane na pewno i Czytelnikom „Liter”. Ale ekipa aktorska stanowi w dalszym ciągu mocny punkt „Kalamburu”.

Teatr — usługą wyższego rzędu

— To są fachowcy w swoich zawodach — mówi Włodzimierz Herman. — Rekrutują się ze środowisk studenckich Uniwersytetu i Politechniki. I choć teatr nasz jest teatrem studenckim, amatorskim, oni łączą z nim poważne ambicje, często do tego stopnia, że ich przyszłość wiąże się nieodwołalnie ze sceną. Obecnie, kiedy dzięki dużemu poparciu władz miejskich otrzymaliśmy salę, jesteśmy w stanie zapewnić im lepszą opiekę. Duża ilość osób pragnie tworzyć u nas autentyczne wartości i na tym polega nasza funkcja społeczna.

— Jeśli jesteśmy przy sprawach funkcji społecznej — do jakich środowisk chcielibyście docierać? Czy uwzględnianie w swych planach zapotrzebowanie waszego rodzimego środowiska?

— Odkąd posiadamy własną salę, pragniemy rozszerzyć zakres naszego oddzia-

ływania na społeczeństwo całego Wrocławia. Co nie znaczy, że dotychczas jedynym odbiorcą naszych programów byli studenci. Na to drugie pytanie odpowiem, że repertuar ustawiamy raczej według własnych planów.

— Rozumiem. Kryterium waszym jest bardziej eksperyment, niż recepcja...

— Nie, nie, nie z tych rzeczy. Żadnych eksperymentów dla eksperymentu. Ale równocześnie nie traktujemy swej roli, jako usługowej. Teatr jest usługą wyższego rzędu i jego wartości nie można mierzyć ilością wyprzedanych krzeseł. Zresztą — dodaje Herman po chwili zastanowienia — może wyrazimy to tak. Dla publiczności mamy tę swoją scenę kabaretową i w tym punkcie liczymy na popularność. Natomiast scenę poezji traktujemy bardziej eksperymentalnie.

— I zamierzacie kontynuować obie te sceny?

— Tak. I scenę debiutów również.

— A przecież pojawiają się na waszej scenie utwory tak nietypowe dla tego podziału, jak „Chmury”?

— Jak na przykład „Szwecy” Witkacego...

— Właśnie. Po całym Wrocławiu krążą legendy na ich temat. Co pociągnęło Pana w „Szwecach”, że wziął pan nie swoje barki ciężar powojennej prapremiery tej sztuki?

— Proszę pana — zapala się mój rozmówca — to sztuka dysponująca nieposłusznymi, ba, genialnymi walorami widowiskowymi. Osobiście czuję się głęboko przekonany taką formą groteski, która polega na efekcie obcości typu tekstu do typu postaci. Normalni ludzie w normalny sposób wypowiadają słowa przerastające ich świadomość. Szwec mówiący wzniosłe. Ale ten wzgląd nie jest odosobniony. Chciałbym bowiem również udowodnić w „Szwecach” wartości, które można przyswoić socjalistycznej kulturze, a które na pewno w tym tekście, napisanym grubo przed wojną, istnieją.

— A inne premiery?

— „Kabaret kryminalny” Wojtyły, z muzyką Bienia. Reżyseruje Wł. Wolnicki. A oprócz własnego repertuaru chcemy zaprezentować widzowi wrocławskiemu wydarzenia artystyczne niedostępne na ogół dla niego, bo z innych terenów Polski. I tak była już u nas z recitalem Hanna Skarżanka i Halina Mikołajska. Trwają starania o ściągnięcie Bohdana Łazuki. Pragniemy również przedstawić na naszej scenie teatryki studenckie z całej Polski.

— A wśród nich jakiś gdański?

— Na pewno.

— Wtedy Gdańsk mógłby się zrewanżować...

— Z przyjemnością byśmy skorzystali.

Odczyty i przeróżne spotkania stanowią w naszym województwie wciąż podstawową formę pracy organizacji społeczno-kulturalnych i im pokrewnych. Od czasu do czasu fetuje się z okazji jakiegś rocznicy urodzin lub zgonu, jakiegś wydarzenia lub jubileuszu. Wtedy płynie morze wzniosłych słów o kryształowym charakterze i najwspanialszych zasługach w dziejach świata. Kawka, ciastko — potem ludzie się rozchodzą i szybko zapominają o przedstawieniu zorganizowanym ku chwale i na cześć.

Nie opowiadam się przeciw jubileuszom, ale chciałbym, aby pozostawały po nich trwały i wartościowy ślad. Żeby jubileusz nie był wyjątkową okazją do fetowania, lecz aby stwarzał przesłanki do ugruntowania w społeczeństwie jego idei. Pamięć o kosztownej „części artystycznej” bywa zazwyczaj bardzo krótkotrwała, natomiast idee jubileuszu, jeśli zostaną zawarte w pięknej publikacji przeżyją nie tylko miesiąc czy rok, ale i pokolenia. A przecież Jutro, którym ży-

powiatach, mikroregionach. Na osobne monografie zasługują również regiony etnograficzne — Kociewie, Powiśle i Kaszub.

Z satysfakcją wziąłem do ręki książeczkę pt. „Monografie miast i powiatów”, zawierającą materiały z konferencji poświęconej temu zagadnieniu, zorganizowanej w 1963 r. w Olsztynie przez tamtejszy Ośrodek Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego, przy współudziale Wydziału Kultury Prezydium WRN. Konferencji przewodniczył prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego, prof. dr Stanisław Herbst, a uczestniczyli w niej zarówno naukowcy, jak i działacze społeczni z miast i miasteczek Warmii i Mazur. Sojusz nauki z ruchem amatorskim? Nie, takiego sojuszu w ścisłym znaczeniu nie może być, ale życzliwość okazana społecznikom przez historyków, podkreślanie potrzeby współudziału społeczników w opracowywaniu monografii, szczególnie ich części współczesnych — wytworzyły atmosferę wspólnej troski o jak najlepsze opracowanie. Dr Wojciech Wrzesiński w referacie wprowadzającym podkreślił wyraźnie, że „...jedną z najważniejszych spraw dla opracowania w przyszłości monografii jest nawiązanie i utrzymanie ścisłego, a nie tylko świątecznego kontaktu badaczy — amatorów ze specjalistami profesjonalistami i edytorami.”

Opowiadanie się za monografiami w formie szkiców, ale nie oderwanych od siebie, lecz harmonijnie wiążących temat w jedną całość, oznacza potrzebę zbiorowego opracowywania monografii, gdyż wtedy tylko będą one stanowić w pełni wartościowe źródło wiedzy o mieście czy powiecie. Liczne monografie, już wydane, zostały poddane na konferencji krytyce i to nie tyle za błędy metodologiczne, ile za prześnaczenie faktów, lub wręcz błędne informacje.

Sporo miejsca poświęcono omówieniu wykorzystywania relacji ustnych. Prof. dr Herbst powiedział: „Tam, gdzie źródeł brakuje, a dotyczy to zwłaszcza czasów najnowszych, obowiązkiem naszym jest źródła te tworzyć”. Śluszenie, tylko chodzi o to, aby źródła tworzyli ludzie do tego przygotowani, a nie partacze. W naszym województwie tworzenie „źródeł” stało się ostatnio kłęską żywiołową. Każdy, kto pisze np. o czasach okupacji na Pomorzu, poczuwa się do obowiązku zbierać relacje, a czyni to nieudolnie, po amatorsku. Zło tkwi jednak w tym, że te relacje usiłuje się wykorzystywać w publikacjach bez ich konfrontacji i absolutnego sprawdzenia. Jednym słowem przyjmuje się za dobrą monetę to, co ktoś tam powie, nawet jeśli pamięć go zawodzi lub ponosi fantazja.

W przypadku monografii wykorzystywanie relacji i wszelkiego rodzaju wspomnień jest równie zawodne, jak wykorzystywanie ich w pracach ściśle naukowych. Stąd zdania na ten temat historyków uczestniczących w konferencji olsztyńskiej były podzielone. Dr Wrzesiński uważał, że wspomnienia można i należy umieszczać w monografiach, natomiast Edward Szmańda z Bydgoskiego Towarzystwa Naukowego wyraził pogląd, że wspomnieniom lepiej poświęcić osobne wydawnictwa, natomiast w monografiach można je wykorzystywać po uprzednim skonfrontowaniu z różnymi innymi źródłami.

Problemów jest wiele. Wydaje mi się, że każdy opracowujący monografię powinien zapoznać się z materiałami olsztyńskiej konferencji. Są one niezmiernie bogate i zawierają wiele cennych wskazówek, które w przyszłości pozwolą uniknąć poważniejszych błędów w opracowywanych pracach.

Inicjatywa Ośrodka Badań Naukowych im. W. Kętrzyńskiego, działającego w ramach Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze”, zasługuje na baczna

uwagę nie tylko w konkretnym przypadku, lecz i przede wszystkim w zakresie systematycznej pracy naukowo-badawczej, sprzyjającej szerszym celom poznawczym. Liczne wydawnictwa tego ośrodka, cenne z punktu widzenia naukowego, spełniają również ważną rolę upowszechniania wiedzy o regionie. Działalności tej sprzyja niewątpliwie pełne poparcie udzielane przez Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej i inne ośrodki administracji państwowej, przede wszystkim zaś ogólna atmosfera życzliwości. Ludzie z inicjatywą są popierani moralnie, a ich plany wspierane materialnie.

Wokół regionalizmu narosło wiele nieporozumień, najchętniej utożsamiano go z wstecznictwem, z próbą hamowania postępu. Przykład Olsztyna, a także Bydgoszczy, Koszalina i Szczecina wskazuje, że te nieporozumienia uległy przedawnieniu, a inicjatywy regionalne opatrzone są oficjalną pieczęcią władz politycznych i administracyjnych. Cytowany już dr W. Wrzesiński krótko lecz jakże trafnie zreferował ten problem: „Dostrzegając w regionalizmie tylko jego stare wartości, nie zauważono procesu ich przetwarzania, wytwarzania się nowych założeń, nowych treści ideowych. Przewartościowywanie pojęć politycznych i kulturalnych, tworzenie się nowej rzeczywistości państwowej, społecznej i kulturalnej stwarza tymczasem bodźce do szerokiego rozwoju ruchu regionalnego, w ramach którego historyczne badania naukowe muszą odgrywać rolę wiodącą”.

Chciałbym, aby w naszym województwie ta wiodąca rola historii była właściwie interpretowana, aby zdawano sobie sprawę z tego, że ludzie oprócz mięsa, masła i cytryn potrzebują jeszcze czegoś więcej — rozumienia ciągłości tradycji, której rezultatem jest współczesność. Trzeba zatem dostarczyć społeczeństwu odpowiednich materiałów, które pozwolą zrozumieć całą drogę, jaką przebyli nasi przodkowie i jaką my przebyliśmy, zanim stanęliśmy do pracy w stoczni, porcie, biurze. Wstępną ku temu drogą, najprostszą, jest monografia, której brak tak dotkliwie odczuwamy. Wykształcony na niej czytelnik chętniej będzie potem sięgał do prac naukowych i pogłębiał swą wiedzę o ziemi ojczystej.

Inicjatywę pozostawiam Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskiemu i Gdańskiemu Towarzystwu Przyjaciół Sztuki. Może konferencja olsztyńska znajdzie i u nas odzew?

LUDZIE Z INICJATYWĄ

TADEUSZ BOLDUAN

jemy w oficjalnych przemówieniach, powinno być Jutrem w postępowaniu, w serdecznej trosce o nie, w rezultatach naszej pracy.

Mój niepokój wypływa stąd, że zawieramy zbyt mocno słowu mówionemu, przeznaczonemu na potrzeby chwili, natomiast nie staramy się konstruować przemówień tak, aby stanowiły one dokument naszych czasów, który utrwalał w „księdze pamiątkowej” służyłby dziś i jutro setkom tysięcy mieszkańców naszego województwa. Ale taki dokument nie powinien przypominać osławionego „Bedefera gdańskiego” — szczytu partactwa redakcyjnego i edytorskiego.

Mamy wspaniałe jubileusze, chociażby tysiąclecie państwa polskiego i dwudziestolecie wyzwolenia Wybrzeża spod okupacji hitlerowskiej, lecz cóż po nich pozostanie utrwalonego drukiem? Kilka drobnych książeczek przyczynkarskich? Wiem, istnieją poważne zamierzenia naukowe, nasi historycy pracują nad wielkimi monografiami, ale mnie interesują nie grupy ludzi, którzy będą z nich korzystać, lecz masy czytelników, które do tychczas karmione są przestarzałymi i z gruntu fałszywymi monografiami pochodzącymi z czasów kajzera Wilhelma! Albo niczym nie są karmione i zadowolają się legendą zanotowaną w pamięci.

Dwadzieścia lat, a więc czas już, aby nasze miasta i powiaty posiadały swoje monografie popularne lub popularno-naukowe, opracowane przez fachowców lub pod ich nadzorem i przeznaczone do powszechnego użytku. Monografii takich nie zastępują przewodniki turystyczne, ani składanki, ani tym bardziej odczyty. Istnieje bowiem pilna potrzeba dostarczenia ludziom w miarę pełnych i wszechstronnych zbiorów wiedzy o ich miastach,

STOWARZYSZENIE SPOŁECZNO-KULTURALNE „POJEZIERZE”
OSRODEK BADAŃ NAUKOWYCH IM. W. KĘTRZYŃSKIEGO

ROZPRAWY I MATERIAŁY

MONOGRAFIE MIAST I POWIATÓW

MATERIAŁY KONFERENCJI
Z DNIA 19 X 1963 R



OSZTYN 1964

Poniedziałek wielkanocny oznacza się u wszystkich ugrupowań etnicznych ludu pomorskiego pradawnym zwyczajem, który współcześnie przybiera formę wesołej zabawy.

Łatwo się domyśleć, że chodzi tu o dyngus zwany na Kaszubach powszechnie „dingus” lub „dęgus”, rzadziej zaś „smiganie” (Kartuskie), lub „smaganie” (Dolne Powiśle).

Zwyczaj ów polega na tym, że młodzież męska chłoscze zazielenionymi różgami brzozowymi kobiety — przede wszystkim zaś dziewczęta i młode mężatki.

Już na kilka tygodni przed tzw. „dęgowaniem” chłopcy przygotowują gałązki brzeziny wkładając je do wody i odstawiając w ciepłe miejsce, by się zazieleniły. Z nadejściem upragnionego „dęgusa” parobczaki lub chłopcy odwiedzają wczesnym rankiem chałupy, by wśród okrzyków „Dęgu, dęgu po dwa jaja, a chto nje da tego praja” (północne Kaszuby) i zamieszania — wychłostać głównie dziewczęta i młódki.

Najczęściej chłoscze się je po nogach, czasem też po rękach. Bywa, że do tego celu używa się w niektórych okolicach różg jałowcowych (Kartuskie) a niekiedy cierniowych (powiaty nadmorskie) lub wierzbowych gałązek (okolice Świecia).

Dyngusnicy starają się zazwyczaj wtargnąć do domów o świcie, by zaskoczyć kobiety i dziewczyny jeszcze śpiące (Dolne Po-

dluszą i odmienną śpiewkę notują źródła z Kociewia:

*Pójdę ja do gaju,
Nową różdżkę z maju
Cisnę państwu do nóg,
Dajcie, dajcie, co Bóg każe
Po jajeczku i po parze,
Jak byście nam jedno dali
Tobym wam podziękowali.
Sukienkę na lato, kożuszek na zimę
Smyk, smyk różdżka pod pierzynę.*

(Barłożyno, p. Starogard)

Opisana forma wiosennego dyngusa „zielonego” jest szczególnie charakterystyczna dla obszarów Pomorza Wschodniego, choć spotyka się ją także w Wielkopolsce i na Mazowszu.

Drugi rodzaj dyngusa, to zwyczaj polewania kobiet wodą, znany zresztą w całej Polsce. Spotyka się go w powiatach puckim i południowego Pomorza. Wody się przy tej okazji nie żałuje. Istniał dawniej znamieny przesąd, że im więcej zużyto wody dyngusowej — tym więcej mleka miały dać gospodarzowi krowy.

DYNGUS POMORSKI

LONGIN MALICKI

wiśle). Często zakradają się do chałupy przez okno. Notowano dawniej też wypadki spuszczenia się do izb kominem!

W szczególny sposób bronią się dziewczęta w Osiu na Kociewiu przed bądź co bądź niemłą chłostą dyngusową. Uchodząc przed chłopcami na podwórze, usiłują tam wypuścić z chlewa świnię. Jeżeli im się to uda, cała zagroda jest uważana za nieetykalną!

Tu i ówdzie składają też dyngusnicy zieloną gałązkę u stóp gospodyni i gospodarza wygłaszając stosowne powinszowania świąteczne (okolice Wdzydz).

Za sprawiony domownikom dyngus otrzymują chłopcy jajka — kraszanki i pieczywo, które składają do kosza oraz przeważnie nieco groszy.

Na marginesie dodam, że jajka wielkanocne bywają na Pomorzu zwykle malowane jednobarwnie, najczęściej w kolorach czerwonym, niebieskim, zielonym, brązowym.

Dyngowaniu towarzyszy zazwyczaj tradycyjna śpiewka powtarzana w różnych odmianach:

*Dyngus, dyngus po dyngusie
Leży placek na obrusie,
Matka kraje, ojciec daje —
Proszę o malowane jaje*

(Góra, p. Wejherowo)

albo:

*Dyngus, dyngus
Po dwa jaja
Nie chcę chleba
Tylko jaja*

(Kościerskie)

lub:

*Dyngus, dyngus
Kopa jaj —
Nie chleba
Jeno jaj.*



Anna Basman: obraz na szkiele — dyngus wielkanocny. Gnieźdzewo pow. Puck
Fot. A. Podlewski

Ze szczególną żywiołowością odbywa się m.in. lany dyngus w Jaźwicach koło Gniewu. Śpiące dziewczęta wynoszą tu wraz z łóżkiem do pobliskiego stawu, lub polewają obficie wiadrami wody.

Gdzieniedzie panuje natomiast zwyczaj polewania wodą chłopców przez dziewczęta (Kalisz, p. Kościerzyna i w grudziądzkim), podczas kiedy chłopcy dyngują je za pomocą różg.

W niektórych okolicach dyngus zamienił się w zabawę dziecięcą połączoną z powinszowaniami i zbieraniem datków lub przerodził się — jak w miastach, w symboliczne skrapianie wodą zwykłą lub kolońską z rozpylaczy.

A jaka może być geneza tych pradawnych, dziś już mocno zatartych zwyczajów?

Stwierdzono, że wedle pierwotnych wierzeń, w smaganiu gałązkami zazielenionej brzeziny, wierzby czy jałowca wyraża się przekazywanie ludziom — siły żywotnej — zawartej w tych gałązkach. Sposób ów stanowi odwieczną praktykę pogańską.

Uderzająca jest przy tym rola brzozy, która ma często zastępowanie w obrzędowości północnej Polski (podobnie jak u ludów skandynawskich i ugrofińskich), gdzie drzewo to jest powszechnie spotykane.

Również moc wody znana jest z dawnych praktyk wierzeniowych Słowian jako siła zapładniająca. Obfite polewanie nią stanowi przypuszczalnie reminiscencję odległego magicznego zabiegu agrarnego, związanego z zapewnieniem sobie urodzajów. Woda posiada też według wierzeń pierwotnych moc oczyszczającą i przypisuje się jej zdrowie.

Spostrzegamy więc, że prastare elementy wierzeniowe spłotyły się w dyngusie z nawarstwieniami późniejszej obrzędowości chrześcijańskiej i przetrwały w ten sposób do czasów współczesnych jako składnik naszej kultury ludowej i narodowej.

Po II wojnie światowej na Wybrzeżu znalazła się spora liczba repatriantów pochodzących z Wileńszczyzny. Ludność ta przywiozła na nowe miejsce zamieszkania prócz swego dobytku szereg tradycji i zwyczajów nieznanych w tutejszych regionach. Zwyczaże te początkowo zachowywane jedynie przez repatriantów, stopniowo rozpowszechniły się na Wybrzeżu i zostały przyjęte zarówno przez ludność miejscową, jak i przybyszów z innych dzielnic Polski.

Jedną z takich tradycji przywiezionych przez przybłych na Wybrzeże wileńszczyznian jest zwyczaj wykonywania niezwykle artystycznych, barwnych palm wielkanocnych. Wprawdzie zwyczaj święcenia palm w niedzielę poprzedzającą Wielkanoc — tzw. Palmową lub Kwietną, znany jest zarówno na Pomorzu jak i w całej Polsce, lecz palmy pochodzące z poszczególnych regionów różnią się między sobą wyglądem i materiałem, z jakiego są wykonywane, zaś palmy wileńskie zasługują na specjalną uwagę ze względu na szczególnie piękny wygląd oraz z uwagi na to, że prócz dewocyjnego mają charakter dekoracyjny.

Na Wileńszczyźnie znanych było kilka rodzajów palm wielkanocnych. A więc palmy wykonywane z bazi, gałązek borówki lub jałowca, które święcone w Niedzielę Palmową miały znaczenie dewocyjne i magiczne. Inny rodzaj — palmy wykonywane z barwionych kwiatów i różnego rodzaju dekoracyjnej trawy, przeznaczone również do święcenia, służyły także masowo do dekorowania mieszkań. Wykonywane w ciągu roku, sprzedawane były na targu w okresie Wielkiego Postu, a także na tradycyjnym odpuszcie św. Kazimierza tzw. „Kaziuku”. Poświęcone palmy umieszczano za obrazami i makatami, a nabyte celem dekoracji wnętrza ustawiano po kilka sztuk w wazonach.

Pomiędzy przybłymi do Gdańska wileńszczyznianami znalazło się kilka osób które przywiozły z rodzinnych stron nabytą jeszcze w młodości sztukę wykonywania „wierzb”, jak na Wileńszczyźnie nazywano palmy wielkanocne. Wykonywali je początkowo w niewielkiej ilości, sprzedając znajomym wileńszczyznianom, a częściowo także na targu.

W roku 1959 gdyńska Cepelia urządziła w Gdańsku na Długim Targu kiermasz z wyrobami ludowymi. Obok artystycznych wyrobów pochodzących z północnych regionów Polski, na kiermaszu znalazła się wileńska ceramika a także wielkanocne palmy. Barwne, pięknie wykonane palemki znalazły licznych nabywców nie tylko wśród zamieszkujących w Trójmieście wileńszczyznian, lecz przypadły do gustu także ludziom pochodzącym z innych dzielnic Polski.

W związku z zaobserwowanym w Trójmieście wielkim popytem na wileńskie palmy, Cepelia weszła w kontakt z wytwórcami i od tej pory rozpoczęła się masowa produkcja palm na sprzedaż.

Podstawowym surowcem do wyrobu palm są różne gatunki niewielkich, trwałych kwiatów, które po wysuszeniu nie zmieniają swego wyglądu, oraz nadają się do farbowania. Są to różowe i żółto-czerwone nieśmiertelniki — tzw. „słomianki”, drobne białe kwiatki, oraz paki żółtych kocanek. Zarówno kwiatki białe, jak i oba gatunki nieśmiertelników uprawiane są przez wyrabiających palmy w ogródkach. Zbiera się je, gdy kwiaty są w pakach, gdyż w tym stanie są bardziej trwałe i ładniej wyglądają. Kocanki rosną dziko w miejscach suchych i nasłonecznionych.

Do dekoracji palm używa się także suszonych źdźbeł tymotki. Szczyt palmy zdobi kitka z mietlicy — trawy rosnącej w zbożu jako chwast, lub wierzchołek trzciny.

Surowiec suszy się porozwieszany na strychu lub na słońcu.

Do barwienia kwiatów i trawy używa się kupnych farb nazywanych przez wytwórców palm „farbami kryształowymi”. Barwniki rozpuszcza się we wrzącej wodzie w proporcji zależnej od żadanego natężenia koloru. W gorącym roztworze zanurza się powiązany w pęczki surowiec po kilka razy — aż do otrzymania właściwej barwy. Kwiatki białe i kocanki barwi się na kolory — żółty, zielony, szafirowy, czerwony i fioletowy. Część kwiatów białych pozostawia się w naturalnym kolorze. Nie barwi się też nieśmiertelników, wykorzystując ich piękne naturalne zabarwienie. Żdźbła tymotki oraz mietlicy, które po wysuszeniu przybierają nieatrakcyjny szaro-żółty kolor barwi się zazwyczaj na zielono, czasem też na żółto lub fioletowo. Po farbowaniu następuje ponowne suszenie. Z kolei skraca się łodyżki do 1–2 centymetrów.

Dobrze wysuszony i odpowiednio zabarwiony surowiec gotów jest do umieszczenia na wierzbowym patyku.

Wierzchołek palmy stanowi kitka z mietlicy lub trzciny przytwierdzona do górnego końca patyka mocną nicią. Niżej umocowuje się kwiaty. Układa się je dookoła patyka główką do góry, a zwisające łodyżki owija się nicią. W trakcie tej czynności komponuje się ornament. Różnobarwne kwiaty gęsto umieszczone na wierzbowej witce tworzą dookółne wianuszki, pionowe i ukośne paski, lub zygzaki. Przeplata się je niekiedy żdźbłami tymotki uformowanymi na kształt pętl. Pomiędzy kwiatami umieszcza się też czasem baze. Kwietny ornament komponuje się tak, aby uzyskać jak największą harmonię formy i kolorów. Zwyą, soczystą zielenią i jaskrawym szafiirem umieszcza się obok koloru białego, ostrość barwy czerwonej i żółtej łagodzi stonowany, ciemny fiolet lub srebrzysta szarość bazi; drobnutkie kocanki ładnie kontrastują z większymi kwiatami i pętelkami z tymotki, a miękka, puszysta kitka z mietlicy nadaje palmie lekkość i wysmukłość.

U dołu wianuszek kwiatów okręca się nicią, umacnia klejem kasztanowym oraz ucina się zwisające łodyżki. Niekiedy dół palmy wykonany jest rozetką z wiórow drzewnych. Dolna część patyka (na ogół kilkanaście centymetrów) pozostaje nieozdobiona i służy jako trzonek.

Palmy tego rodzaju występują w trzech wielkościach: duże — ok. 60 cm, średnie — ok. 45 cm, i małe 30–35 cm.

Oprócz palm wyżej opisanych spotyka się w Gdańsku też takie, w których część dekoracyjna składa się z jednego gatunku kwiatów barwionych na jeden kolor i umieszczonych dookoła wtki dość rzadko. Te palmy nie mają kitki na wierzchołku, lecz żdźbła mietlicy umieszczone są u dołu części dekoracyjnej. Takie palemki są o wiele mniej pracochłonne i wymagają mniejszej ilości surowca. Nie jest to jednak wzór tradycyjny lecz kompozycja powstała już w Gdańsku. Palmy te spotyka się rzadziej i mają one mniejszy popyt jako mniej dekoracyjne od palm o wzorach tradycyjnych.

Na Wileńszczyźnie wyrabiano ozdobne palmy wielkanocne w kilku odmianach. A więc prócz palm zdobionych kwiatami dookółnie były też takie, w których kwiaty umieszczone na patyku półokrągło tworzyły stronę licową; tylna płaska strona nie była zdobiona. Robiono też palemki w rodzaju bukiecika. Złożone z kwiatów i źdźbeł trawy miały kształt stożka zwieńczonego kitką. W Gdańsku jednak tego rodzaju palmy nie występują.

Obecnie sprzedaż palm odbywa się głównie za pośrednictwem Cepelii Centrala w Gdyni zakupuje palmy od wytwórców hurtowo i rozprowadza je do swoich sklepów w Trójmieście, oraz w Tczewie i Elblągu. Palmy są też wysyłane do Koszalina i Olsztyna.

Palmy kupowane są zarówno przez ludność wiejską z okolic Gdańska, jak i mieszkańców Trójmiasta. Umieszczone w wazonie stanowią ładny — przyciągający wzrok ciekawą gamą kolorów — akcent dekoracyjny. Szczególnie pięknie wyglądają one w czarnej ceramice kaszubskiej. Każmierczaka wyrabianej w Kartuzach. W zestawieniu z ciemną, metalicznie lśniącą polewą dzbanów Każmierczaka kolory wyglądają jeszcze bardziej żywe i wyraziste, a łagodnie zaakraglone linie ceramiki podkreślają wysmukłość palemek.

Ozdobne palmy wileńskie, które zdobyły tak szeroką popularność wśród mieszkańców Trójmiasta, stanowią wkład zamieszkających w Gdańsku wileńszczyznian do skarbnicy kultury Pomorza Gdańskiego.

WILEŃSKIE PALMY WIELKANOCNE NA WYBRZEŻU GDAŃSKIM

IZOLDA KACZMARCZYK

Współczesne „palmy” wielkanocne z Gdańska-Wrzeszcza w dzbanku kaszubskim.
Muzeum Pomorskie.

Fot. Jerzy Tukalo, 1964





Fot. Kazimierz
Przychodźki

JESZCZE JEDEN JUBILEUSZ

Dwudziestolecie pracy pisarskiej obchodzi w tym roku znany pisarz i ceniony publicysta — marynista, autor szeregu prac popularno-naukowych i naukowych o tematyce historycznej — Jerzy Pertek.

— Najbardziej popularną książką w pańskim dorobku twórczym są niewątpliwie „Wielkie dni małej floty”. Jaka jest geneza tej książki?

— Materiał do niej a właściwie do działań bojowych naszych okrętów wojennych na Zachodzie, gdyż wtedy jeszcze nie myślałem w ogóle o książce, zacząłem zbierać w czasie okupacji. Znajdowałem się wówczas w Warszawie i cały wolny czas poświęcałem gromadzeniu wycinków prasowych. Dotyczyły one przede wszystkim działalności polskich okrętów w czasie II wojny światowej. Polska prasa podziemna nie zawsze dostarczała wyczerpujących informacji na ten temat, zaś Niemcy pisali o polskich okrętach, tylko z okazji ich zatopienia, bądź uszkodzenia. Najwyżej ceniłem sobie relacje polskich marynarzy, uczestników głośnych bitew. Fragmenty tych relacji znajdowałem właśnie w polskiej prasie podziemnej.

— Czy po wojnie przystąpił pan od razu do opracowania książkowego?

— Niestety, nie od razu. Posiadany materiał pozwalał orientować się o przebiegu działań naszych okrętów w obronie Wybrzeża w 1939 r. oraz ich uczestnictwie w antyhitlerowskiej koalicji na Zachodzie. Dopiero jednak relacje oficerów powracających z Zachodu zamieszczane w „Gazecie Morskiej” — organie prasowym Marynarki Wojennej, umożliwiły mi pełne jego skompletowanie.

— Czy był to już w pewnym sensie pierwowzór późniejszej książki?

— Niestety, nie. Było to tworzywo, na podstawie którego należało napisać książkę. W tym czasie redaktor Edmund Męclewski proponował mi pracę w Zachodniej Agencji Prasowej. Przyjąłem ją chętnie. W ZAP prowadziłem archiwum wycinków. Równocześnie zacząłem zamieszczać systematycznie w biuletynach agencji artykuły omawiające działalność okrętów w czasie II wojny światowej. Tak narodziły się „Wielkie dni małej floty”, które pierwszego wydania doczekały się w 1946 r.

— Czy poza ZAP udzielał się pan jeszcze gdzie indziej? Mam na myśli redakcje, biura wydawnictwa?

— Z ZAP i jego wydawnictwem, tzn. Wydawnictwem Zachodnim, które wydało moją pierwszą książkę, związałem się na długo. Współpraca ta trwa zresztą po dziś dzień. Był jednak okres (lata 1950–51), kiedy podjąłem pracę w Lidze Morskiej,

a konkretnie w jej wydawnictwie książkowym, którego byłem redaktorem. Później były Wydawnictwa Komunikacyjne, Wydawnictwa Morskie, wreszcie do roku 1958 praca redaktorska w Ossolineum...

— A potem?

— Względy zdrowotne wyłączyły mnie z czynnej pracy zawodowej. Od tego czasu poświęciłem się wyłącznie pracy naukowo-pisarskiej.

— Jak to się stało, że pan bądź co bądź „szczur lądowy” (aktualnie zamieszkały w Poznaniu), tak ściśle związał swój dorobek pisarski z morzem, a ściślej z tradycjami polskiego oręża na morzu?

— Morze „odkryłem” po raz pierwszy w czasie wakacji letnich 1932 roku. Odtąd rokrocznie spędzałem ferie letnie w Jastarni, lub na Helu. Co to były za przeżycia! Wtedy nie było jeszcze portu wojennego na Helu i nasze poczdive kanonierki oraz torpedowce zawiąły do portu rybackiego. Czasem na „okrasę” zjawiał się „Wicher”, który wprawdzie z uwagi na swoje rozmiary do portu nie wchodził, ale jego obecność na redzie dodawała splendoru tej miejscowości.

Być może naprzykrzałem się nieco matrozom, nagabując ich o szczegóły uzbrojenia, wyposażenia i inne detale, ale to zainteresowanie, które wyniosłem właśnie z wakacji letnich, trwale zakorzeniło się w moim umyśle. Po powrocie do domu chłonałem literaturę o morzu i, szczerze mówiąc, zazdrościłem publicystom, że mogą o nim pisać. Chyba wtedy zrodziły się moje marzenia pisania o morzu...

— Czy morze pociągało pana tylko jako temat pisarski, czy też próbował pan się z nim bliżej zbratać?

— Chciałem również służyć w Marynarce Wojennej. Przynajmniej przez jakiś czas. Liczyłem na to, że w okresie międzywojennym powstanie Szkoła Podchorążych Oficerów Rezerwy Marynarki Wojennej. Niestety, wojna przekreśliła w pewnym sensie plany mojej przyszłej kariery.

— Większość pańskich książek — mam tu na myśli „Wielkie dni małej floty”, „Drugą matką flotę”, „Wojnę morską 1939–1945” napisane wspólnie z Supińskim, „Dzieje ORP „Orzeł” — poświęcona jest wydarzeniom II wojny światowej. Czy znaczy to, że ten okres historyczny szczególnie pan sobie upodobał?

— Niezupełnie. Mam bardzo bogate własne archiwum, dotyczące właśnie okresu najnowszego, tj. działań morskich w czasie II wojny światowej, zwłaszcza zaś działań polskich okrętów. Moje zainteresowanie tradycjami morskimi sięgają jednak znacznie odleglejszych czasów.

Nie będę krył, że najbliższe memu sercu są „Wielkie dni małej floty”. Mimo to

uważam, że największą wartość mają „Polacy na morskich szlakach świata”. Jest to dzieło mojego życia i zdradzę panu, że dzieło to w niedługim czasie znacznie się rozrośnie. W tej chwili zbieram materiały i sięgam do źródeł, przygotowując nowe trzynomowe wydanie „Polaków na morskich szlakach świata”.

Okazuje się, że mimo niechętnego stosunku szlachty do spraw morskich w ubiegłych wiekach, mimo ponad stuletniej niewoli, nasze polskie tradycje nie są wcale tak ubogie jak się to na ogół wydaje. Oprócz „Polaków na morskich szlakach świata” zamierzam przygotować i wydać „Słownik polski ludzi morza”. Słownik byłby uzupełnieniem relacji, opisów i wydarzeń zawartych w „Polakach na morskich szlakach świata”. Jego treścią będą życiorysy znanych i zasłużonych Polaków związanych ze sprawami morza. Pierwowzorem takiego słownika są niewątpliwie „Sylwetki polskich ludzi morza” (sto trzydzieści zwięzłych biografii) wydrukowanych w Roczniku Ziemi Zachodnich i Północnych.

W zbiorach J. Pertki znajdują się „białe kruki”. Są to starodruki i wydawnictwa specjalne. Księgozbiór ten — obok wydanych przez autora — stanowi niewątpliwie również niebagatelny dorobek pisarza.

— Tak, powiada jego właściciel — ten księgozbiór to moja duma. Wraz z posiadanymi relacjami i materiałem ikonograficznym pozwolił mi on na pisanie książek w obrębie tego pokoju, bez potrzeby korzystania z bibliotek. Oczywiście przy opracowywaniu niektórych tematów, jak np. monografii o „Burzy”, która wkrótce ukaże się na półkach księgarskich, zmuszony byłem sięgnąć do archiwum.

— Czy wychowuje pan sobie następcę, który kiedyś w przyszłości przejmie w spadku, nie tylko ten wspaniały zbiór książek, ale także pióro i będzie kontynuował rozpoczęte dzieło?

— Mam dwie córki, obie będą studiowały polonistykę, ale temat, a raczej charakter moich prac, nie bardzo je interesuje. Niekiedy zadają mi pytanie: „Tatusiu, kiedy Ty nareszcie zaczniesz pisać coś do czytania?”

— No właśnie, czy zamierza pan napisać „coś do czytania”? Mam na myśli powieść...

— Owszem, noszę się z takim zamiarem. Będzie to książka o tematyce historycznej, morskiej. Na razie nie chcę zdradzać, ani treści, ani też tytułu. Można zapisać...

— Pańskie plany wydawnicze na najbliższą przyszłość?

— Niedługo ukaże się wspomniana już monografia „Burza” — weteran atlantyckich szlaków”. Następną pozycją będzie opracowanie książkowe „Od Reichsmarine do Bundesmarine 1918–1963 r.” Ukażą się również wznowienia „Dziejów „ORP „Orzeł”, szóste wydanie „Wielkie dni małej floty”, następne wydanie „Drugiej małej floty” i kilku miniatur morskich.

— Może pan zdradzi Czytelnikom — na zakończenie rozmowy — swoje hobby? Podobno tradycja prowadzenia wykładów nakazuje zadać takie pytanie.

— Kiedyś namiętnie uprawiałem sport, zwłaszcza tenis i zbierałem... znaczki. Obecnie namiętnie kibicuję przy małym ekranie, lub radiu. Namiętność zbierania znaczków została ograniczona brakiem czasu.

Rozmawiał: E. KOCZOROWSKI

W ostatnich latach na terenie całego kraju nastąpił rozwój regionalnych towarzystw społeczno-kulturalnych. Zjawisko to jest jednym z elementów procesu decentralizacji działalności kulturalnej i wyzwalania się inicjatyw społecznych w pielęgnowaniu tradycji rodzimych oraz upowszechnianiu kultury ogólnopolskiej, a także ogólnoludzkiej.

Dobrym przykładem działalności towarzystw może być województwo zielonogórskie, w którym działa bardzo żywotne Lubuskie Towarzystwo Kultury, stanowiące federację blisko 30 towarzystw regionalnych. LTK patroluje też działalność klubów twórczych województwa (filmowych, literackich i innych). Prowadzi ono działalność odczytową i wydawniczą, organizuje wystawy twórczości amatorskiej, konkursy piosenkar-skie itp.

Podobnie wygląda sytuacja w województwie bydgoskim. Tamtejsze „Towarzystwo dobrej roboty” — jak to trafnie określili tygodnik „7 Dni w Polsce” — czyli Kujawsko-Pomorskie Towarzystwo Kultury zrzesza 9 oddziałów terenowych posiadających własne regionalne nazwy (Kujawsko-Pańskie Towarzystwo Kulturalne w Szubinie, Chojnickie Towarzystwo Kulturalne, Krajeńskie Towarzystwo Kulturalne itp.). K-PTK stanowi również pewną federację miejscowych towarzystw regionalnych.

O ROZWÓJ TOWARZYSTW SPOŁECZNO-KULTURALNYCH

Poważny dorobek w tej dziedzinie mają również inne województwa. Wymieńmy za „Rocznikiem Ziemi Zachodnich i Północnych” (1964 r.) niektóre z nich. Są to: Towarzystwo Miłośników Ziemi Gliwickiej, Koło Miłośników Ziemi Nyskiej, Myśliborskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, Towarzystwo Miłośników Wrocławia, Towarzystwo Społeczno-Kulturalne „Pojezierze” w Olsztynie.

Od blisko dziesięciu lat działalnością tą zajmowały się w naszym województwie głównie: Zrzeszenie Kaszubskie i Zrzeszenie Kociewskie. W ostatnich jednak latach działalność tych towarzystw poważnie osłabła. W wypadku Zrzeszenia Kaszubskiego (odgrywającego najsilniejszą rolę) nastąpiło to głównie z tej przyczyny, że Zarząd Główny organizacji nie potrafił skupić szerszego aktywności społecznej wokół siebie, nie otrzymywał żadnej stałej dotacji na działalność, nie zatrudniał ani jednego pracownika i nie wydawał własnego biuletynu organizacyjnego.

Na III Walnym Zjeździe Zrzeszenia Kaszubskiego nastąpiło połączenie ze Zrzeszeniem Kociewskim i powstało ZRZESZENIE KASZUBSKO-POMORSKIE. Nowa nazwa uprawnia i zobowiązuje do objęcia działalności społeczno-kulturalną nie tylko powiatów kaszubskich, ale także Kociewia, Powiśla, Trójmiasta, Elbląga i innych miast. W końcu 1964 r. Zarząd Główny ZK-P otrzymał wreszcie skromną dotację na działalność w wysokości 25 tys. zł oraz 5 tys. zł na wydanie pracy L. Roppa pt. „Z księgi mądrości morzan”. Zarząd zatrudnia stałego sekretarza Klemensa DERCA. Jednym z głównych zadań ZK-P, wiążących się z aktywizacją tej organizacji, jest przygotowywanie wszystkich ogniw terenowych do wielkiej imprezy pn. „ROK POMORZA GDAŃSKIEGO”, organizowanej w ramach obchodów XX-lecia Ziemi Gdańskiej.

Na terenie naszego województwa powstało drugie, ważne regionalne towarzystwo kulturalne. Jest nim GDAŃSKIE TOWARZYSTWO PRZYJACIO SZTUKI. Już od kilku lat prowadzi ono bardzo pożyteczną i niezwykle aktywną działalność w dziedzinie upowszechniania sztuki wśród rzeszy mieszkańców Trójmiasta. Z uznaniem należy powitać inicjatywę GTPS, zmierzającą do tworzenia oddziałów terenowych tego towarzystwa w zakładach pracy i miastach powiatowych (pierwszy oddział powiatowy powstał w Wejherowie w końcu ubiegłego roku).

Poza tym do regionalnych towarzystw należą także na terenie województwa gdańskiego: Galeria „EL” w Elblągu i Gdańskie Towarzystwo Fotograficzne.

Dorobek wspomnianych towarzystw jest nierównomierny i trudno go omówić w krótkim artykule. Warto jednak zastanowić się nad problemami dalszej aktywizacji i upowszechniania ich działalności. Otóż podstawą winna tu być nadal praca szerokiego aktywu społecznego. Dotyczy to społecznego udziału w pracach przy organizowaniu różnych imprez regionalnych, inicjowaniu i realizowaniu czynów społecznych w zakresie kultury itp. Aby towarzystwa mogły należycie wykonywać swe funkcje społeczne, muszą dysponować:

- lokalem na zebrania, odczyty, wystawy, muzea społeczne;
- skromną, lecz stałą roczną dotacją na działalność;
- stałym pracownikiem (np. już obecnie można stwierdzić, że pół etatu na taką organizację, jak ZK-P nie gwarantuje szerokiego rozmachu i większych efektów działania);
- własne wydawnictwa (biuletyn organizacyjny, prospekty, informatory, monografie itp.).

Obecnie niewiele towarzystw społeczno-kulturalnych naszego województwa może poszczycić się wyposażeniem w te instrumenty działania. Istnieje więc pilna potrzeba, by na obecnym etapie sprawą tą jeszcze bardziej się zainteresować. Związana, że wspomniane towarzystwa — to ważne ogniwo w upowszechnianiu kultury i pielęgnowaniu tradycji regionalnych. Są one również w pewnym stopniu przedłużeniem ramienia rad narodowych w tej dziedzinie.

W 1964 roku sprawą regionalnych towarzystw zajęła się Komisja Kultury i Sztuki Sejmu PRL. Komisja zobowiązała terenowe rady narodowe do zwiększenia zainteresowania społecznym ruchem kulturalnym oraz do wzmocnienia troski o jego dalszy rozwój i podnoszenie rangi społecznego działacza kulturalnego. Dotyczy to popierania samodzielności stowarzyszeń społeczno-kulturalnych, tworzenia federacji tych stowarzyszeń, udzielania im pomocy finansowej na określone zadania i akcje, udostępnianie lokali i wyposażenia placówek kulturalno-oświatowych na działalność stowarzyszeń społecznych.

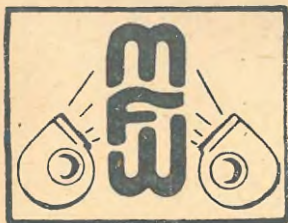
W województwie gdańskim jest wielu miłośników miast, regionów i poszczególnych dziedzin sztuki. Ludzie ci chętnie będą się nadal włączać do społecznej pracy w regionalnych towarzystwach kulturalnych.

CZESŁAW SKONKA

PS

Przy okazji warto się zastanowić nad celowością powołania federacji wybrzeżowych towarzystw społeczno-kulturalnych. Funkcje takie mogłoby w naszym województwie spełniać Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie, czy GTPS (na wzór Lubuskiego Towarzystwa Kultury, czy Kujawsko-Pomorskiego Towarzystwa Kultury). Oczywiście, jest to sprawa dyskusyjna, jak wiele innych omówionych powyżej. Mam nadzieję, że redakcja „Liter” doceniając wagę problemu, nie odmówi swych tłumów dla regionalnych działaczy kulturalnych i innych osób, którzy chcieliby się wypowiedzieć na ten temat. Gra warta świeczki.

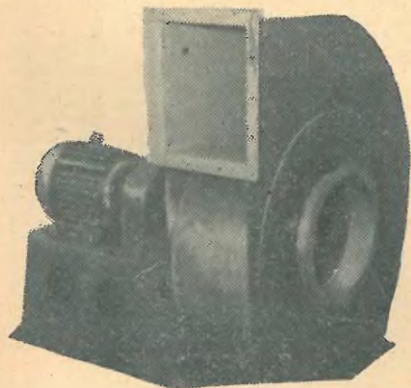
Cz. Sk.



MALBORSKA FABRYKA WENTYLATORÓW

produkuje:

— wentylatory promienione i osiowe dla budownictwa, rolnictwa i przemysłu — roz-prowadzane w kraju i na eksport do 20 krajów świata.



Fabryka znajduje się obecnie w stadium rozbudowy i modernizacji parku maszynowego.

O dorobku fabryki świadczy zakwalifikowanie wentyla-torów chłodniczych, skonstruowanych przez inżyniera f-ki do najwyższej klasy światowej.

Zlecenia odbiorców realizowane są w terminie do 6 mie-sięcy od chwili złożenia zamówień.

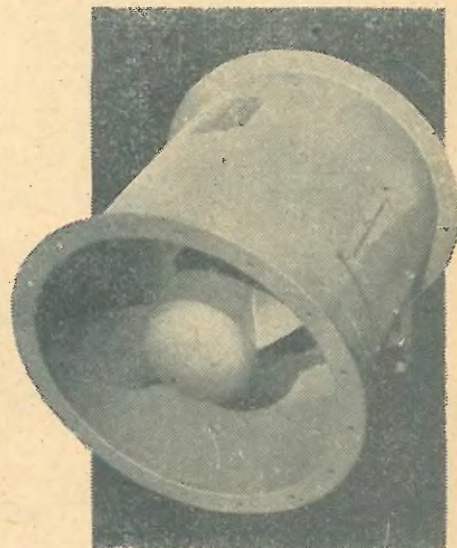


FOTO ZDARZENIA

W okresie XX-lecia Politechniki Gdańskiej wyrosło już drugie pokolenie pracowników nauki.

Na zdjęciu dr chemii Leonard Falkowski, który przed kilkoma tygodniami uzyskał stopień doktora, wraz z doc. dr inż. Edwardem Borowskim i ich wychowawcą prof. dr Zygmunt Ledóchowski.



Dział naukowy Publicznej Biblioteki Miejskiej w Elblągu urządził w swej czytelni wystawę powojennych, naukowych publikacji o Elblągu.



RUCH AMATORSKI

PRZY MŁODZIEŻOWEJ Radzie Kultury Zarządu Wojewódzkiego ZMS w Gdańsku powstało przed 5 miesiącami Studium Piosenki, liczące kilkudziesięciu amatorów piosenkarzy i piosenkarek. Śpiewają oni piosenki skomponowane przez Henryka Jabłońskiego, Janusza Hajduna, Jana Tomaszewskiego, Ewy Gleinert, Jerzego Parthy i Wandy Dubanowicz, przebywających stale w Trójmieście. Pierwszy przegląd wypadł interesująco i świadczył o dużym przygotowaniu młodych amatorów piosenkarzy.

WOJEWÓDZKA Scena Amatorska w Gdańsku rozpoczęła swoją działalność pierwszym spektaklem-koncertem w Morskim Domu Kultury w Nowym Porcie. Wzięły w nim udział zespoły z Trójmiasta i woj. gdańskiego. Impreza dowiodła, że ruch amatorski w woj. gdańskim rozwija się pomyślnie.

W TCZEWSKIM Domu Kultury Kolarza czynna była Wystawa Fotografiki Amatorskiej Kolarzy, zorganizowana przez Zarząd Okręgowy ZZK w Gdańsku. Na wystawę nadesłano 60 fotografii z Gdańska, Chojnic, Olsztyna, Inowrocławia. Przeważała tematyka pejzażowa i związana z zawodem. Całość ekspozycji wypadła korzystnie.

Z inicjatywy Koła Miłośników Gdańska, istniejącego przy Technikum Ekonomicznym, a prowadzonego przez polonistkę mgr Aurelię Kwiatkowską, odbyła się dwudniowa sesja popularno-naukowa, poświęcona działalności środowisk twórczych Wybrzeża w minionym dwudziestolecu.

PLASTYKA

ZORGANIZOWANA przez BWA w Sopocie w salonie wystawowym w Gdyni wystawa malarstwa i tkanin Heleny Bodzińskiej — wykładowcy Państw. Liceum Technik Plastycznych w Orłowie — obrazowała 20-letni dorobek tej artystki.

240 PRAC malarskich uczniów szkoły podstawowej nr 2 w Sopocie, spośród których wiele zdobyło międzynarodowe nagrody, można było oglądać przez kilka tygodni w pawilonach BWA w Sopocie.

NA WYSTAWIE w galerii Marcel Bernheima w Paryżu znajduje się kilkanaście płócien znanego na Wybrzeżu plastyka Konstantego Gorbatowskiego. Jesienią prace Gorbatowskiego mają być również eksponowane w galerii Cavez w Turynie.

W DWORZE ARTUSA w Gdańsku otwarto wystawę, obrazującą dorobek Stoczni Gdańskiej. Są tu modele statków, dźwigów, nabrzeży itd. Wystawę przygotowało Muzeum Morskie i specjalny zespół Stoczni Gdańskiej.

W PAWILONACH BWA w Sopocie dużym powodzeniem cieszyła się jubileuszowa wystawa malarstwa Aleksandra Dzwonkowskiego, zorganizowana z racji 80-lecia urodzin artysty.

NA OGÓLNOPOLSKIEJ studenckiej wystawie morskiej, obejmującej malarstwo i grafikę, w pawilonach BWA w Sopocie eksponowano ok. 200 prac.

W SALONIE wystawowym BWA w Gdyni wystawił swe prace artysta plastyk Kazimierz Ostrowski.

50 INTERESUJĄCYCH fotografów Janusza Uklejewskiego znalazło się na wystawie fotografiki pt. „Rejs do Japonii”, urządzanej w pawilonach BWA w Sopocie.

W ŻURAWIU gdańskim otwarto wystawę znaczków pt. „Tematyka morska na znaczkach pocztowych”. Na wystawie, zorganizowanej przez Muzeum Morskie i jedyne w Polsce Muzeum Poczty i Telekomunikacji we Wrocławiu, znajduje się 4 tys. znaczków polskich oraz z wielu krajów europejskich, azjatyckich, afrykańskich i z USA.

PRZYGOTOWANIA do I Biennale Form. Prze strzennych w Elblągu są w pełnym toku. Impreza ta odbędzie się pod patronatem Międzynarodowej Federacji Plastyków AIAP. Komisarzem I Biennale jest Gerard Kwiatkowski, twórca Galerii EL i główny inicjator tej imprezy plastycznej. Wezmą w niej udział wybitni artyści plastycy polscy i zagraniczni. Wpłynęły już zgłoszenia z ZSRR, Czechosłowacji, Anglii, Austrii, Jugosławii, NRF i USA.

W RAMACH OBCHODÓW XX-lecia wyzwolenia Kwidzyna czynna była w Muzeum Regionalnym wystawa, obrazująca dorobek gospodarzy i kulturalny miasta i powiatu.

WYSTAWY w Muzeum Pomorskim, stacjonarne i objazdowe oraz w Muzeum — „Chacie Kaszubskiej” we Wdzydżach zwiedziło w ub. roku 180 tys. osób. Największym uznaniem cieszyła się wystawa poświęcona twórczości Jana Matejki.

KINO Muzeum Pomorskiego w Gdańsku wyświetliło w ub. roku 1131 filmów oświatowych dla 32 tys. widzów. W terenie odbyło się 105 seansów dla ok. 6 tys. widzów.



Chcemy Wam opowiedzieć o nazwach gdańskich ulic...

ABRAHAMA (Oliwa). Wiele miast i osiedli naszego województwa posiada ulice nazwane imieniem Antoniego ABRAHAMA (1869—1923) — wybitnego działacza kaszubskiego rodem ze wsi Zdrada w pow. puckim. Poświęcił on całe swe życie walce o polskość ziemi kaszubskiej. Chodził od wsi do wsi, rozdawał gazety polskie i brał udział w zebraniach ludności. Mówił on: — Pamiętacie bracia, Polska wróci na Kaszuby! W 1919 r. pojechał nielegalnie do Paryża (wraz z Tomaszem Rogalą z Kościerzyny) i tam na konferencji pokojowej domagał się powrotu Kaszub do Polski. Utrzymywał też kontakt ze Stefanem Żeromskim, któremu udzielał informacji o Pomorzu Gdańskim. Zwiłki zasłużonego działacza spoczywają na cmentarzu w Gdyni-Oksywii.

ALDONY (Wrzeszcz). Jest to ulica nosząca imię jednej z postaci występującej w poemacie A. Mickiewicza pt. „Konrad Wallenrod”. Akcja poematu toczy się częściowo na terenie Malborka, gdzie w jednej z wież tamtejszego zamku zamurowana była pustelnica-Aldona, uwielbiana przez bohatera poematu — Konrada Wallenroda. W kronikach owych czasów zanotowano, że do Malborka przybyła wielka dziewczyna, która zażądała zamurowania w osobnej celi i tam dokończyła żywota.

ARKOŃSKA (Oliwa). We wczesnym średniowieczu na wyspie Rana (dziś Rugla) znajdował się gród o nazwie Arkona. Była tam świątynia pogańskiego boga słowiańskiego — Świętowita (w czasie chrystianizacji zburzona przez Duńczyków w 1168 r.).

ASNYKA (Oliwa). Wybitny poeta Adam Asnyk (1838—1897) pochodził z rodziny kupieckiej z Kalisza, ukończył wielostronne studia (agronomia, medycyna, prawo), brał udział w konspiracji i uczestniczył w powstaniu styczniowym, był działaczem społecznym i miłośnikiem przyrody (szczególnie Tatr) oraz podróżnikiem (Indie, Cejlon). W swej twórczości uwzględnił również tematykę morską.



TEATR

PAŃSTWOWA Opera Bałtycka wystąpiła z 50 premierą. Tym razem na scenie gdańskiej odbyła się polska prapremiera opery Igora Strawinskiego „Żywot rozpustnika”. Operę reżyserował prof. Wiktor Bręg, który przed 15 laty wystawił w ówczesnym Studio Operowym pierwszą premierę „Eugeniusz Oniegin” P. Czajkowskiego. „Żywot rozpustnika” przygotował muzycznie Jerzy Katlewicz, scenografię opracował Krzysztof Pankiewicz.

GDAŃSKIE Studio Rapsodyczne uczciło 100 rocznicę urodzin Stefana Żeromskiego, przygotowując premierę fragmentów sztuki autora pt. „Cenniejsze niż życie”.

WPROWADZONE przez Teatr „Wybrzeże” abonamenty na wszystkie sztuki i premiery przyniosły dobre rezultaty. W ub. roku sprzedano 3467 abonamentów w 160 zakładach pracy, natomiast w tym roku rozprowadzono ich ponad 3500.

ESTRADA

WĘGIERSKI zespół muzyczno-wokalny „Bel Ami Quintet”, soliści Maria Woroniecka, Alicja Galińska, Czesław Szewczyk oraz duet piosenkarzy francuskich „Ruby et Baby”, w ramach imprez organizowanych przez WAJA w Sopocie, zakończył objazd woj. gdańskiego i obecnie odbywa tournée po innych województwach.

W PIERWSZEJ połowie kwietnia gościć będziemy niemiecko-bułgarski zespół rewiu iluzjonistycznej „Hardy - Lossau - Romano-Schau”. Rewia nosi tytuł „Magia XX wieku” i będzie pokazana nie tylko mieszkańcom Trójmiasta, ale i innych miast naszego województwa.

W POWIATOWYM Domu Kultury w Kościerzynie odbyło się spotkanie miejscowego aktywu kulturalnego, na którym powołano do życia KOŁO PRZYJACIOŁ MUZEUM J. WYBICKIEGO w Bendominie przy Zarządzie Oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Kościerzynie. W skład zarządu koła weszli m.in. E. Pobłocki (prezes), K. Marchewicz i J. Knyba (wiceprezesi), J. Piankowski (sekretarz), M. Charszla (skarbnik) i T. Zieliński (społeczny opiekun Wystawy Muzealnej J. Wybickiego w Bendominie).

W spotkaniu tym uczestniczył również prof. dr A. Bukowski, który wygłosił odczyt pt. „Wybitni ludzie ziemi kościerskiej”.

DO WSZYSTKICH LUDZI MORZA

Z okazji jubileuszu XX-lecia Polski Ludowej na morzu, Ośrodek Metodyczny przy Klubie Morskim Związku Zawodowego Marynarzy i Portowców w Gdyni ogłasza konkurs literacki dla marynarzy, rybaków i portowców.

28 marca 1945 roku w porcie gdyńskim załapała biało-czerwona flaga — dwa dni później uroczystość przyłączenia do Macierzy święcił port gdański. Każdy z Was pamięta ten radosny dzień wyzwolenia. Dwudziestolecie, które miało do chwili wyzwolenia Wybrzeża gdańskiego, jest dwudziestolecie każdego marynarza, rybaka i portowca. Porównanie stanu naszych portów, tonażu i osiągnięć naszej floty handlowej i rybackiej napawa dziś dumą każdego pracownika morza.

Każdy nowy sukces, każde osiągnięcie w gospodarce morskiej bazuje na codziennej, żmudnej pracy marynarza, rybaka i portowca, a to wiąże się przecież z przeżyciami osobistymi.

Napiszcie o Waszej pracy, o radosnych przeżyciach, kłopotach, czy bólach. Niech to będą szczere i autentyczne wypowiedzi, które w sumie złożą się na niepowtarzalny dokument, który zawierać będzie opis przeżyć, doznań i opinii polskiego marynarza, rybaka i portowca w minionym dwudziestolecu.

Na pewno Wam samym najbardziej zależy na tym, żeby nie poszło w zapomnienie to, coście przeżywali, o czym dyskutowaliście — wszystko

to, co było Wam drogie i bliskie na przestrzeni tych dwudziestu lat.

Zapraszamy więc Was do jak najliczniejszego udziału w naszym konkursie.

OŚRODEK METODYCZNY REGULAMIN KONKURSU

§ 1.

Celem konkursu jest zebranie, uogólnienie i popularyzacja spostrzeżeń marynarzy dotyczących pracy w ich zawodzie.

§ 2.

Autorem nadsyłanych prac może być każdy członek Związku Zawodowego Marynarzy i Portowców.

§ 3.

Forma opracowania dowolna, obejmująca takie gatunki literackie, jak reportaże, wywiady, wspomnienia, artykuły itp.

§ 4.

Objętość prac nie może w zasadzie przekraczać 10 stron znormalizowanego maszynopisu z zachowaniem marginesu i podwójnym odstępem między wierszami. Można nadsyłać również czytelne rękopisy.

§ 5.

Prace powinny być podpisane godłem, a w mniejszej, zamkniętej kopercie należy podać imię i nazwisko, nazwę statku i adres domowy. Koperty opatrzone godłem należy nadsyłać pod adresem „Klub Morski, Ośrodek Metodyczny, Gdynia ul. 10 Lutego nr 7”.

§ 6.

Termin nadsyłania prac konkursowych upływa z dniem 30 czerwca 1965 roku. Ogłoszenie wyników nastąpi dnia 1 września 1965 r. W skład jury konkursu wchodzić będą przedstawiciele: ZG ZZMiP, Klubu Morskiego, Sekcji Psychologii Morskiej, redakcji „Liter” oraz Związku Literatów Polskich.

§ 7.

Prace nadesłane na konkurs nie będą zwracane. Autorom prac organizatorzy zapewniają prawa autorskie. Cenniejsze prace będą publikowane w prasie marynistycznej.

§ 8.

Za najlepsze prace przyznane będą cenne nagrody rzeczowe oraz wyróżnienia książkowe. Przewiduje się także zorganizowanie spotkań i dyskusji z udziałem laureatów konkursu.

§ 9.

Przy ocenie prac będzie brana pod uwagę przede wszystkim trafność spostrzeżeń, ich aktualność oraz treść wnosząca istotny wkład w poznanie zawodu marynarskiego.

§ 10.

Każdy uczestnik konkursu przed przystąpieniem do pisania powinien uważnie przeczytać poradnik pt. „Jak napisać opracowanie na konkurs” (udostępniony w Klubie Morskim), który w znacznym stopniu pomoże mu przy zapisywaniu swych spostrzeżeń oraz układaniu planu opracowania.

KRZYŻÓWKA Z BUDZIKIEM

SYLABOWA

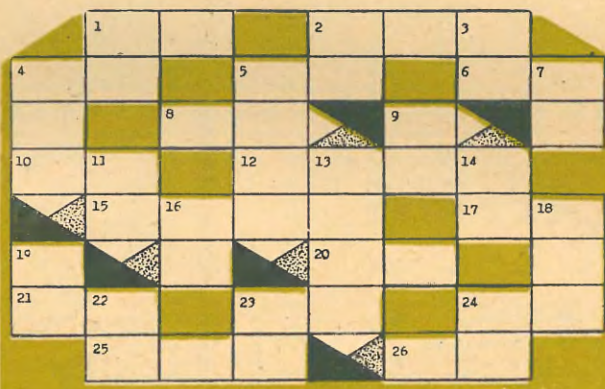
REDAGUJE SŁUPSKI KLUB SZARADZISTÓW PRZY PDK

NAGRODĘ UFUNDOWAŁA

DYREKCJA PRZEDSIĘBIORSTWA HANDLU DETALICZNEGO

„JUBILER”

W GDAŃSKU



POZIOMO: — 1. Rodzaj włokowej sieci rybackiej; 2. Gdańsk + Gdynia + Sopot; 4. Wiatr o sile niszczycielskiej i znacznej długotrwałości; 5. Ni to ryba, ni to wąż (u nas 3 gatunki: morski, rzeczny i strumieniowy); 6. Cymbalista nad cymbalistami; 8. Kojarzy się z fauną; 10. Zgrubienie szyi wskutek powiększenia tarczycy; 12. Układ belek w konstrukcjach budowlanych; 15. Urządzenie do nadawania obrazów filmowych ze studia telewizyjnego; 17. Gumowe obuwie na chłapaninę; 20. Konstrukcja łącząca stengę z bramstengą; 21. Jednostka pomiarowa przestrzeni międzygwiazdowych; 23. Zamieszanie, niepokój w przenośni; 24. Na chleb; 25. Rysunek wygrawerowany na cylindrze stalowym, przeznaczony do reprodukcji; 26. Atrybut balwierza;

PIONOWO: — 1. Barwny ptak z rzędu dzięciołów; 2. Sprzęt w starożytności używany do palenia kadzidła; 3. Nieruchomy korpus maszyny elektrycznej, w którym obraca się wirnik; 4. Dzielnica Gdyni, gdzie Żeromski pisał „Wiatr od morza”; 5. Grupa szlachetnych odmian śliw o drobnych kulistych owocach; 7. W rękę murarza; 9. Zapal, ożywienie; 11. Rzeka zapomnienia w mitologii greckiej; 13. Morski list przewozowy; 14. Wysoko w górze; 16. Klej do papy; 18. Cenna trawa pastewna; 19. Świeżo przyrządzony wyciąg wodny z suszonych ziół; 22. Szósty stopień gamy diatonicznej; 23. Składnik strukturalny stali i żelaza; 24. Głowonóg z rzędu dziesięciornic.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 3

P o z i o m o: As, Kea, Ta, szmuklerz, ut, rak, A.U. (Antoni Uniechowski), sura, most, maniera, Pt, Na, tytan, sesja, Iza, wyspa, salmiak, ski, sto, Tot, akcesoria, Erato, tezy, Akra.
P i o n o w o: casus, teka, mazut, Sztum, kuranty, Alkmena, trasa, raptus, Orania, Taszyzm, eis, Jap, wrak, agat, ssak, Litery, istota, Komi, Osa, alt, cez, rok, Aza.

NAGRODY OTRZYMALI: Karol Gruchała, Oliwa — budzik; Jan Krupa, Kraków — Słownik techniczny (nagr. Sł. Klubu Szaradzystów).

WYŻSZA Szkoła Ekonomiczna w Sopocie obchodzi XX-lecie swego istnienia. W dniach 15 i 16 maja odbędzie się zjazd ok. 800 wychowanków WSE, na którym omówi się znaczenie i rolę tej uczelni w rozwoju przedsiębiorstw i instytucji morskich. Przygotowuje się również specjalne wydawnictwo.

W PŁO ODBYŁO SIĘ spotkanie aktywu gospodarki morskiej Trójmiasta z sekretariatem KW PZPR i ministrem żeglugi Januszem Burakiewiczem. W czasie spotkania minister Burakiewicz wręczył I sekretarzowi KW, Janowi Ptaszkiemu, Złotą Odznakę Zasłużonego Pracownika Morza.

NA NASZYM flagowcu m/s „Batory” pływa od 25 lat Marian Pysze — drewniarz, do którego zadań należy opieka nad przewodami parowymi, wodnymi i ściekowymi. Marian Pysze, liczący dziś 55 lat, posiada szereg odznaczeń krajowych i zagranicznych, m.in. medal „Za rzetelną służbę na morzu w czasie wojny 1939–45” oraz odznaczenia przyznane mu przez Admiralicję Brytyjską.

NA V WOJEWÓDZKIM Zjeździe PCK w Gdańsku przewodniczącym Zarządu Woj. PCK ponownie został wybrany dyr. Marian Gregorek odznaczony złotą odznaką PCK. W czasie obrad wręczono 12 aktom honorowe odznaki PCK. Uchwalono również rezolucję protestującą przeciw przedawnieniu ścigania zbrodni hitlerowskich.

W SZKOLE podstawowej im. majora Iwana Markiejewa w Oliwie odbyła się uroczystość z okazji 47 rocznicy powstania Armii Radzieckiej. Jak wiadomo Iwan Markiejew zginął w 1945 r. o wyzwolenie Gdańska. Na uroczystości do tej szkoły przybył przedstawiciel radzieckiej Floty Wojennej kapitan II rangi Aleksander Iwanow, któremu młodzież zgotowała serdeczną owację.



TWÓJ
EX
LIBRIS

Przedstawiamy dalsze ekslibrisy nadesłane przez naszych Czytelników. Ekslibris dra Jerzego Higiery i Kiri Pełowskiej (drzeworyty) wykonał Stanisław Rolicz. Ekslibris biblioteki oświatowej Morskiego Domu Kultury w Nowym Porcie zaprojektował Józef Kassab. I wreszcie ekslibris Marii i Michała Misiernego.





ALOJZY NAGEL

Niżej publikujemy wiersze autentycznego poety kaszubskiego, Alojzego Nagla. Nie są to pierwsze publikacje — poprzednio jego wiersze zamieściły „Rejsy”, „Kaszëbë” i ostatnio „Litera”. Sądzymy, że naszych Czytelników zainteresuje bliżej, sylwetka tego autora. Oddajmy głos jemu samemu:

„Urodziłem się 26 maja 1930 r. w Kielnie. Od 1937 r. do wojny chodziłem w Kielnie do polskiej szkoły powszechnej. Podczas wojny cztery lata pobierałem nauki w szkole niemieckiej (powszechny obowiązek przymusu). Po wojnie, od 1947 do 1950 r. uczyłem się w Gimnazjum i Liceum Ogólnokształcącym, gdzie z powodu wojny chodziłem jedynie 10 klas. Maturę zdałem jako ekstern. W czasie wojny zmarli oboje rodzice. Choroba matki była bezpośrednim następstwem przeżyć wojennych. Mieszkałiśmy zupełnie blisko policji i w takich warunkach (możliwość obserwacji, kto do nas przychodzi i kiedy) ukrywaliśmy przez dłuższy czas człowieka, który uciekł gestapowcom, kiedy go chcieli aresztować. Matka zapadła na chorobę serca i w 1943 r. zmarła. Człowiek, którego ukrywaliśmy żyje po dziś dzień. Życie za życie, takie to były czasy. Niemcy nam podczas wojny specjalnie nie dokuczali. Ojciec mój był inwalidą z pierwszej wojny światowej (stracił prawą rękę), w styczniu 1945 r. zginął śmiercią tragiczną.

Już w szkole powszechnej próbowałem pisać wiersze. W szkole średniej pisałem je po polsku i po łacinie.(!) Pamiętam jeszcze dziś, że jeden z moich łacińskich wierszy zaczynał się od słów: „Vae nobis discipulis magna magistrorum vis”. Do pisania utworów kaszubskich nakłonił mnie Lech Bądkowski w 1953 r., gdy należałem do Gdańskiego Koła Młodych przy Związku Literatów Polskich. Pierwsze moje utwory drukowały „Rejsy” w latach 1953—57: „Lës i wilk”, „Kur”, „Uparty Michôł”, „Smutno-nósmutniej”, „Kochóm”. Najwięcej napisałem wierszy w 1961 r. Większość z nich ukazała się w „Kaszëbach”. Biuletyn Zrzeszenia Kaszubskiego opublikował moje dwa wiersze oraz utwór prozą pt. „Pulka Wentzel”, w grudniu i w lutym „Litera” — dalsze cztery wiersze...”

NAZÓD Z MORZA

Komudno je
I prëszczë deszcz,
Grzëmi
I tisko sę
Knopiczk drëzi
Zacyskô pisc:
„Ach nënko,
nënko
Jô môm strach
że dzisô tat
utione nôm”.
W tim jaczës głos
W tim jaczës trzôsłk
Chtos w domie
szepce
Chtos buten
depece
Dwiërzë odmiłô
strëja i stark
Knopiczk drëzi
Przez rutę zdrzi
I nêkô tatkuwu
naprzódłk
Stôwiô mu stółk
skôcze na klin,
Smucze mu skarń
Tak witô tatka
malinczë Jank
Nômlôdszë rêbôka
syn.

CHAJA

Stolëmny blône
przeszë
Przez szarë wałë
Bôttu.
Ruta
je sêchô
Leno serce
je z kopicë

Izów
Szukôsz
przëczëñë jiwru
spëtôj se
chajë
I odpowi cë
damienim.

Instytut Bałtycki

FRANCUZI O KSIĄŻCE J. DELARUE

Nawiązując do sprawozdania red. T. Bolduana z posiedzenia Instytutu Bałtyckiego w dniu 26.I.1965 („Litera” nr 3) warto zasygnalizować, że książka „Histoire de la Gestapo” wzbudziła zainteresowanie we Francji. J. Delarue otrzymał dwie nagrody w 1963 roku: francuskiego Ruchu Oporu i dwumiesięcznika „Au jourd'hui”. Książka ta była dość szczegółowo recenzowana przez dr. Marie Granet na łamach poważnego czasopisma naukowego „Revue d'Histoire de la Deuxième Guerre Mondiale” nr 54 (avril) z 1964 r., s. 100—101. Recenzentka jest współpracownicą prof. Henri Michela, jednego z najpoważniejszych autorów francuskich w problematyce II wojny światowej i okupacji hitlerowskiej oraz autorką poważnej rozprawy pt. *Défense de la*

France. Histoire d'un Mouvement de Résistance (1940—1944).

Nie trzeba być nawet historykiem, stwierdza M. Granet, aby zainteresować się dziejami tej okropnej instytucji. Nie było chyba w dziejach Europy instytucji, która wzbudzałaby większą odrazę niż gestapo. Jej organizacja osłonięta była tajemnicą, akta zniszczone lub głęboko ukryte. Jednak wiele z tajemniczości tej organizacji ujawnił proces norimberski. J. Delarue nie jest zawodowym historykiem. Jego zasługą było napisanie w jednym tylko tomie dziejów tej potwornej instytucji; nie przeoczył przy tym żadnego ważnego szczegółu, mimo pewnych niejasności, powtórzeń i kilku drobnych błędów. Jego bibliografia jest poważna, chociaż nie wyczerpująca. Delarue poprawnie omawia rozwój

tej instytucji. Jej działalność we Francji także nakreślona poprawnie, a sylwetki szefów gestapo przedstawione precyzyjnie. Jego wykład o represjach Gestapo w Europie środkowej i obozach koncentracyjnych nie wnosi nowych, nieznanych elementów. Rekapitulując — stwierdza M. Granet — jeżeli książkę J. Delarue postawi się niewielki zarzut, że autor nie przedstawił ścisłej dokumentacji, aby obronić swoje twierdzenia (brak przypisów), to można oznajmić, że napisał książkę żywą i interesującą. Skreślił sporą liczbę portretów najwybitniejszych osobistości gestapo i wyjaśnił dlaczego oni zginęli w tym samym czasie, w którym ginął reżim, który był ich wcieleniem.

WŁADYSŁAW ZAJEWSKI



Paweł S. — Słupsk

Zbyt często posługuje się Pan stereotypem, który nawiązuje do doświadczeń czytelnika. Rozumiem doskonale Pańską dbałość o komunikatywność, lecz nazbyt zawierzenie takiemu symbolowi ogranicza przekazanie myśli czy treści. A więc dla przykładu Hamlet, kojarzy się nam natychmiast z monologiem zaczynającym się od słów: „Być albo nie być”. Cóż jednak pozostanie twórczo własnego w wierszu, jeżeli ograniczy się Pan do cytowania tego fragmentu czytelnikowi? By poznać twórczość Szekspira, otwiera się zwykle książki z oryginalną twórczością Geniusza ze Stratfordu. Jeżeli chce Pan coś na ten temat dodać, to niech Pan to czyni. W przekazanym wierszu rzucił Pan hasło, sięgnęliśmy więc do dramatu Szekspira i zagłębiłiśmy się w nim bez pamięci. Już chyba nie wrócimy do omawianego wiersza.

Wiesław E. Cz. — Szprotawa

Gratulujemy sukcesów i dziękujemy za wiersze. Ma Pan rację, „Literom” szczególnie jest bliska poezja tworzona przez ludzi urodzonych na Pomorzu Gdańskim. Ale nie tylko dlatego, że jest Pan rodowitym tczewianinem, chcemy publikować Pańskie utwory. Te dobre wiersze zainteresują chyba naszych czytelników. Proszę jednak uzbroidź się w cierpliwość — kolejka jest bardzo długa. Łączymy pozdrowienia.

J. K. — Gdańsk

Rozumiemy Pańskie zniecierpliwienie. Niestety, do „Pocztylionu” kierują swoje korespondencje jedynie poci z prośbą o ocenę wierszy. Stąd permanentny brak omówień utworów prozatorskich. Jeśli Pan posiada szczególne kłopoty w kształtowaniu własnego warsztatu, chętnie, w miarę swych skromnych sił, pospieszymy mu z radą. Niestety, w skierowanym do nas liście nie znaleźliśmy żadnych tego rodzaju propozycji, więc poprzestajemy na ukłonach.

Andrzej J. — Gdańsk-Oliwa

W nadesłanych wierszach jest „częstka poezji”. Jeszcze poczekajmy, jeszcze się nie spieszymy, a być może już niedługo przysyśle Pan do nas wiersze, które będą w całości nasycone przenośnią z wiersza „Naleyë zacząć”: — „I wiem, że trwam! (W tej jednej chwili zamknąłem) Całą wieczność.” Łączymy pozdrowienia.

Paweł P. — Wałcz

„Pochwałę pnia” zatrzymujemy do druku.

(abf)

Redaguje zespół:

Redaktor Naczelny
EDGAR MILEWSKI

Z-ca Redaktora Naczelnego
TADEUSZ BOLDUAN

Sekretarz Redakcji
STANISŁAW DZIADOŃ

Redaktor Graficzny
RYSZARD STRYJEC

Członkowie kolegium:
STANISŁAW FLESZAROWA-MUSKAT
BOLESŁAW FAC, EUGENIUSZ MELECH

Redakcja i Administracja: Gdańsk, Targ Drzewny 3/7, telefon: 31-18-25. Oddział w Koszalinie: Koszalin, ul. Gwardii Ludowej 16, tel. 54-35 godz. przyjęć: 11-13. Warunki prenumeraty: kwartalnie zł 15, półrocznie zł 30, rocznie zł 60. Zamówienia indywidualne przyjmują placówki pocztowe oraz listonosze do 15 każdego miesiąca na następny okres prenumeraty. Można również zamówić prenumeratę dokonując wpłaty na konto PKO nr 52-6-141 PUPIK „Ruch” w Gdańsku, ul. Tkacka 9/10. NIE ZAMÓWIONYCH REKOPISÓW REDAKCJA NIE ZWRACA. Wydawca: Gdańskie Wydawnictwo Prasowe, RSW „Prasa”.

Druk: GZGraf. — 478. — D-2



JERZY ZABŁOCKI studia malarskie ukończył w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych w Sopocie. Od 1959 r. bierze udział w wystawach okręgowych, ogólnopolskich i zagranicznych. Uczestniczy w IV Ogólnopolskiej Wystawie Plastyki, wystawia w Arsenale i na Wystawie Młodego Malarstwa i Rzeźby w ramach Sopotkich Festiwali Sztuki w latach 1957—59. Bierze udział w Wystawie 27 Malarzy Wybrzeża w 1959, w „Wystawie 5-ciu” (Festiwal Sztuki w Sopocie 1962), w Wystawie XV-lecia PRL i w 20-leciu PPR w Grafice i Rysunku 1963. Wystawiał indywidualnie: w Sopocie (1958), w Warszawie (1959), we Frankfurcie nad Menem (1960), w Gdyni (1963), w Poznaniu (1964) i w Szczecinie (1965).

Na wystawach i konkursach otrzymuje nagrody i wyróżnienia. Poza tym bierze udział w wystawach sztuki polskiej i międzynarodowej za granicą: w NRD, NRF, Bukareszcie, Wiedniu, Paryżu, Monte Carlo, Ilgesias (Sardynia).

Obrazy jego znajdują się w zbiorach Ministerstwa Kultury i Sztuki, w Muzeum Narodowym w Warszawie, Muzeum Pomorskim w Gdańsku oraz w galeriach prywatnych we Francji, Belgii, NRF i we Włoszech.

NA 4-TEJ STRONIE OKŁADKI REPRODUKCYJA KOLOROWA OBRAZU JERZEGO ZABŁOCKIEGO (TEMPERA).





JERRY ZABOCKI